MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 17 WARSZAWA, 25 KWIETNIA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

NOWA POLITYKA NIEMIECKA

POLITYKA niemiecka w stosunku do Polski przesiąknięta jest nowym duchem. Możnaby go nazwać duchem realizmu politycznego, który objawia się przede wszystkiem w tem, że liczy się ona z faktem istnienia państwa polskiego jako wartości nieprzemijającej i rezygnuje z modnego jeszcze nie tak dawno traktowania go jako *„Saisonstaatu"*. Ten dodatni niewątpliwie rozwój stosunku Niemiec do Polski nie idzie jednak tak daleko, by polityce niemieckiej w odniesieniu do zaganień wschodnich nadał podobny bieg, jak względem problematów zachodnich. W dalszym więc ciągu Niemcy nie godzą się na objęcie granicy polsko-niemieckiej gwarancją mocarstw zachodnich, wybierając natomiast dwustronną umowę polsko-niemiecką. Tą tylko zatem, ograniczoną co do czasu, umową skrępowana jest — wolna ręka niemiecka na Wschodzie.

Tak wygląda niemiecki realizm polityczny z ogólnego punktu widzenia. Odbija się on jednak także w dziedzinie szczegółowego zagadnienia, jakim jest: stosunek do mniejszości narodowych w obu krajach, — a więc Polaków w Niemczech i Niemców w Polsce. Łączy się to już ściśle z teorią hitlerowską.

Teoria ta — jak to zresztą jest powszechnie znane — widzi w narodowości najwyższą wartość. Z tego też względu „odrzuca wszelkie wynaradawianie obcych grup narodowościowych" (*„Völkischer Beobachter* nr. 83 z 24. 3. b. r.) W tym duchu wypowiedział się Adolf Hitler, mówiąc o mniejszościach narodowych, tak ten problemat traktuje hitlerowska literatura polityczna i prasa. I tu zauważyć się daje znamienny rozdział. W Niemczech mówi się i pisze o niesprawiedliwej granicy wschodniej, ostatnio np. *„Frankfurter Zeitung"* (nr. 150 — 151 z 23. 3. b. r.) podnosi fakt rzekomo krzywdzącego Niemców podziału Górnego Śląska, ale równocześnie nawołuje się do szanowania kulturalnych i gospodarczych potrzeb mniejszości, podając za przykład — stosunek Trzeciej Rrzeszy do mniejszości polskiej. Żąda się przeto wzajemności w tej dziedzinie.

Niewątpliwie linia polityki niemieckiej zbiega się tu z linią oficjalnej polityki polskiej, która przez usta ministra Becka, wypowiedziała się w Genewie za respektowaniem obowiązków wynikających z międzynarodowych traktatów mniejszościowych. Gdy to nastąpiło, to istotnie realnym narzędziem polityki mniejszościowej między Polską, a Niemcami pozostało tylko porozumienie i zasada wzajemności.

Rozpatrzmy tę zasadę właśnie pod kątem widzenia realizmu politycznego, który tak wybitnie cechuje politykę nowych Niemiec.

W Niemczech żyje półtora miliona Polaków, w Polsce zaś 800 tysięcy Niemców. Polacy w Niemczech stanowią poważne skupiska, jak na Śląsku Opolskim (600000), Niemcy zaś w Polsce mieszkają w dość znacznym rozprószeniu, chociaż głównie na zachodzie kraju. Ale Niemcy w Polsce przedstawiają poważną siłę materialną, jako właściciele ziemscy, przemysłowcy, kupcy, chłopi i rzemieślnicy. Jedynie niemal na Górnym Śląsku zdarzają się robotnicy niemieccy. Przykładem tej siły jest fakt posiadania przez Niemców $^1/_4$ własności ziemskiej na Pomorzu. Natomiast Polacy w Niemczech są w masie chłopami i robotnikami, a w znacznej części proletariatem miejskim i wiejskim, zależnym materialnie od pracodawców i władz rozdzielających pracę i zapomogi. Niemcy w Polsce posiadają dość wysoki poziom kultury, uświadomienia i organizacji gospodarczej i politycznej — w przeciwieństwie do Polaków w Niemczech.

Jak widać zatem żywioł niemiecki w Polsce posiada lepsze warunki naturalne do pielęgnowania swej narodowości, niż żywioł polski w Niemczech. Ale dochodzi tu jeszcze na korzyść Niem-

ców wzgląd bardzo ważny, a mianowicie system wewnętrzny polityki niemieckiej w przeciwieństwie do systemu polityki polskiej.

Nie potrzeba chyba tutaj powtarzać znanych przejawów hitlerowskiej polityki, zmierzającej do ujęcia całokształtu życia społecznego i indywidualnego w Niemczech. Wystarczy powiedzieć, że polityka taka czyni jednostkę pionkiem w ręku państwa ujednoliconego z partią. Odnosi się to również do Polaków w Niemczech. Podlegają oni ustawodawstwu hitlerowskiemu, które naprzykład może ich wywłaszczyć z ziemi (Dziennik Ustaw Rzeszy z dn. 26. I. b. r. część I. str. 32). Uzyskanie pracy, czy zapomóg zależy od opinii kierowników placówek hitlerowskich. Świadectwo z polskiej szkoły jest przeszkodą w uzyskaniu posady, podobnie, jak nienależenie do hitlerowskich organizacji młodzieży i innych. Robotnik polski musi należeć do „*Arbeitsfrontu*", gdzie odpowiednio jest „wychowywany" i t. d. i t. d. To wszystko są potężne, oparte na przymusie środki wynaradawiania, których natomiast rola w Polsce jest żadna.

I dlatego też prof. Oberländer, przewodniczący przodującej w akcji germanizacyjnej organizacji „*Bund Deutscher Osten*", mógł na jej niedawnym zjeździe w Pile powiedzieć z całym spokojem:

— Najwyższe nasze prawo brzmi: n i e g e r m a n i z o w a ć s i ł ą!

Tak więc realistyczna polityka hitlerowskich Niemiec, oparta z jednej strony o fakt liczenia się z istnieniem stałego, żywego państwa polskiego a z drugiej o zasadę wzajemności, wykorzystuje w pełni lepszą pozycję niemiecką. Nic też dziwnego, że kryje w sobie wiele niebezpieczeństw nietylko w dziedzinie gwarancji naszej granicy zachodniej ale i w dziedzinie mniejszościowej. Jeśli idzie o tę ostatnią, to trzymając silnie w więzach systemu, a więc w zależności gospodarczej i politycznej, ludność polską w Niemczech, może pod niebiosa krzyczeć o rzekomych krzywdach Niemców w Polsce, chełpiąc się przed światem swą powierzchowną tolerancją.

Tak też się i stało naprzykład z okazji przemówień niemieckich członków Senatu o szkolnictwie niemieckiem w Polsce i o reformie rolnej.

Realizmowi niemieckiej polityki w stosunku do Polski przeciwstawić można tylko istotny realizm polityki polskiej. Wynikać on musi z całkowitego zrozumienia intencji i planów niemieckich, zmierzać ku najpełniejszemu zabezpieczeniu i zagwarantowaniu naszej granicy zachodniej, a w dziedzinie mniejszościowej nieistotny dzisiaj postulat wzajemności urzeczywistnić „*mit Haut und Haar*", jak mówią Niemcy, na zasadzie przykładania właściwej miary do rzekomej „tolerancji" niemieckiej.

STANISŁAW TABACZYŃSKI

CYWILIZACJA BIZANTYŃSKA

(ODCZYT WYGŁOSZONY W WARSZAWIE W DOMU KATOLICKIM 11 LUTEGO 1937 R.) (Dokończenie)

IV

TYMCZASEM cywilizacja rzymska była stłumiona tak dalece, iż ledwie dochowały się z niej iskierki jakieś słabe pod zaspami popiołów nasypanych przez cywilizację hellenistyczną, a następnie bizantyńską. Lecz tliło się pod popiołami. Zwolennicy cywilizacji, chociaż nieliczni, opierali się jednak z całych sił i pogańskiej hellenistyczności i chrześcijańskiemu bizantynizmowi. W walce tej, tak nierównej, znaleźli „Rzymianie" sojusznika, który potężniał z pokolenia w pokolenie, aż wreszcie stał się na tyle potężnym, iżby wyrównał nierówność sił w walce dwóch cywilizacji, w walce Zachodu ze Wschodem. Pod opieką papiestwa skupiali się coraz ściślej ci wszyscy, którzy radziby wyrzucić z Zachodu naleciałości orientalne. Wobec chrześcijaństwa nie mogła się ostać oczywiście cywilizacja rzymska w swej całości, lecz Kościół pozbierał z niej wszystko, co dało się (że tak powiem) ochrzcić, stawiając na samym szczycie zasadę supremacji sił duchowzch, a z czego miało wykwitnąć nowe zagadnienie: *De civitate Dei* — ujęte z czasem w postulat wprowadzenia Królestwa Bożego na ziemi. Pod opieką Kościoła katolickiego wychowywały się narody, które miały przejąć nową cywilizację, wytworzoną przez Kościół, cywilizację chrześcijańsko - klasyczną, którą też zwać można krótko: łacińską.

Cywilizacja ta staczała i stacza nie kończące się walki z cywilizacją bizantyńską. Rozróżnić należy w bizantynizmie dwie rzeczy: słabość państwa, a siłę cywilizacji. Cesarstwo wschodnie istniało długo, lecz z reguły tylko wegetowało. Historia jego, to kroniki obrzydliwych okropności na wewnątrz, a ciągłego kurczenia się na zewnątrz. Opłacało się haracze Hunom już około r. 430, Atylli je zdwojono i jeszcze w tym samym stuleciu V opłacano się Wandalom. Następny wiek należał do lepszych, ale zaraz na początku VII Persowie posunęli się w pobliże stolicy, rozkładając się obozem w Chalcedonie w r. 616. Niebawem w latach 634 — 639 Arabowie zajęli Syrię, Palestynę i Fenicję, a w r. 640 Egipt; w następnym zaś pokoleniu oblegali już Konstantynopol przez siedem lat (638 — 675). Najazdy bułgarskie sprowokował sam cesarz Justynian II, przyjąwszy na żołd 15,000 Bułgarów przeciw współzawodnikom do cesarskiego tronu. W r. 718 trzeba było odpierać poraz drugi Arabów z pod murów stolicy, a za Konstantyna V (741 — 775) powtarzają się ciągle wojny bułgarskie. Wiek IX zaczyna się od nich, tudzież od niepomyśnych starć z Arabami. Leon V (813 — 820) musi walczyć z Bułgarami już na przedmieściach Carogrodu, a nawet potem zagarniają Saraceni w r. 826 Kretę. Następnego roku zaczynają podboje na Sycylii. W połowie IX wieku widzimy Arabów w Małej Azji, od północy zaś obronność państwa była tak niedostateczna, iż w r. 865 mogła się pojawić w zatoce carogrodzkiej łupieżcza wyprawa flotylli Waregów z Rusi. Państwo bułgarskie obejmowało coraz większy dział półwyspu bałkańskiego; pokonywał ich Konstanty Bułgarobójca (1018), ale nastaje okres najazdów nowych: Seldżuków, Pieczyngów, Normanów.

W wieku XII odzyskano niektóre utracone ziemie, ale obszar cesarstwa był już bądźcobądź znacznie uszczuplony.

Naprzekór temu wszystkiemu cywilizacyjna ekspanzja była znakomita. Dawno już przepadły resztki hellenistyczności, a języka greckiego bizantyńskie wpływy nie przywracały; ale czerpano z Bizancjum na Wschodzie modę dworską, technikę wojenną, a częstokroć prawa. Dziś jeszcze natrafiają podróżnicy w Azji Przedniej i w Afryce północnej na przeżytki cywilizacji bizantyńskiej. Bałkan cały, od Dunaju po Moreę, chociaż zrzucający z siebie panowanie Bizancjum, uległ jego cywilizacji. Wytwarza się kultura bułgarska, następnie serbska i włoska, ciekawe nader filiacje cywilizacji bizantyńskiej. Ekspanzja przybiera coraz bardziej na sile i prze na Zachód. Nie brakło prób pozyskania Italii, a w południowej części półwyspu apenińskiego powiodły się; strzępy cywilizacji bizantyńskiej znać tam do dziś dnia. Włochy środkowe i północne wyemancypowały się natomiast gruntownie i po pewnych wahaniach przylgnęły do cywilizacji łacińskiej. Nigdy też bizantynizm nie przekraczał tędy Alp.

Szerzył się dalej w Europie drogą całkiem inną, morską przez Sycylię, Sardynię, Baleary aż do Hiszpanii, stamtąd na dwory królewskie i książęce krajów francuskich. Bizantynizm imponował. Paryż był słabą osadą trzeciorzędną, kiedy Konstantynopol wprawiał przybysza z Zachodu w osłupienie bogactwem, budowlami i ogładą. Każdy z zachodnich władców marzył o tem, żeby sobie urządzić dwór na wzór bizantyńskiego, i otrzymać od cesarza tytuł patrycjusza, i kopię włóczni św. Maurycego, którą zatykano przy tronie. Zapraszano cywilizację bizantyńską do siebie, ubiegano się o możność naśladowania jej. Dwa razy przebiega przez Europę zachodnią wielka fala ekspanzji bizantynizmu w wiekach IV do VI i powtórnie w wieku X.

Wytwarzająca się w Rzymie cywilizacja łacińska była kopciuszkiem przy bizantyńskiej — a jednak rozwijała się, dzięki walorom duchowym. Pierwsze jej sformowanie się zawdzięczamy jednemu z największych ludzi całej historii powszechnej, Cassiodorowi (ok. 468 — po 562). Był to minister Odoakra i Teodoryka, następnie założyciel słynnego klasztoru benedyktyńskiego w Vivarese w południowych Włoszech, gdzie wszczął zbieranie rękopisów piśmiennictwa łacińskiego. Odciął się od Bizancjum z całą stanowczością i podczas wyprawy Belizara stanął po stronie Gotów.

Równocześnie powstał drugi klasztor benedyktyński o znaczeniu zasadniczem w Monte Cassino (529), burzony przez Longobardów, Saracenów, Normanów, i wciąż odnawiany, aż 1066 nanowo wzniesiony z fundamentów. W Rzymie krystalizowała się tymczasem doktryna o supremacji Kościoła nad władzą świecką. Pierwsza klątwa na patryarchę carogrodzkiego datuje z r. 484, a papież Gelazjusz I. (492 — 496) sformułował już jasno sprawę prymatu papieskiego. Zaognia się spór z Bizancjum i staje się coraz wielostronniejszym. W r. 800 wskrzesza się cesarstwo zachodnie, aby je przeciwstawić wschodniemu (Karol W.), ale krótka była sława tego cesarstwa, a dłuższa historia jego niezaszczytnego rozprzężenia, zanikania. Jeden z najinteligentniejszych pisarzy X w. Liutprand longobardzki (ok. 922 — 972) nawołuje na nowo, by cesarza bizantyńskiego uznawać prawym władcą całego świata.

Powtórna wielka ekspanzja cywilizacji bizantyńskiej X w. dotarła do Niemiec i chociaż w w. XI zaczął się powtórny odwrót bizantyńskiej fali, w Niemczech utrzymała się, pozostała i trwa dotychczas, wydawszy najświetniejszą z kultur bizantyńskich, kulturę bizantyńsko-niemiecką, która stanowi sam szczyt cywilizacji bizantyńskiej. Już w pierwszej połowie X w. zebrało się na dworze dynastii saskiej poważne grono uczonych i statystów bizantyńskich, zwłaszcza od przyjazdu cesarzówny Teofanii w małżeństwo z Ottonem II. Wznowione w r. 962 cesarstwo nie trzymało się torów cesarstwa karolińskiego; tamto było obmyślone i ustanowione przez papiestwo, a to powstawało przeciwko papiestwu; rzymska koronacja Ottona I była wymuszona wśród zaciętych walk z papiestwem. Powstawało jakby drugie cesarstwo bizantyńskie, filia Bizancjum na Zachodzie. Odtąd Niemcy są rozdzielone cywilizacyjnie na dwa obozy: łaciński i bizantyński, a cała historia Niemiec składa się ze ścierania się odmiennych pojęć dwojga cywilizacji.

Zmierzające w dwóch odmiennych kierunkach Niemcy miewały całe okresy bierności kulturalnej i całkowitej niemocy ich cesarstwa; jaśniejsze okresy nastawały zaś wtenczas, kiedy ster państwa ujmowali wyłącznie zwolennicy stanowczy jednej cywilizacji, a stanowczy przeciwnicy drugiej. Ale nigdy żadna z nich nie została pognębiona tak dalece, iżby nie mogła podnieść się i przystąpić na nowo do współzawodnictwa. Historia Niemiec dostarcza poważnego dowodu tezie, jako niema syntez między cywilizacjami, bo gdyby była możliwa synteza bizantynizmu z latynizmem byłaby musiała już dawno dokonać się w Niemczech.

Za dynastii salickiej (1024 — 1125) zdawało się, że nurt łaciński wysycha już zupełnie w Niemczech, a bizantynizm wyruszy na podbój Europy. Groziła zagłada cywilizacji łacińskiej. Gdyby się to dokonało było, chrześcijaństwo zeszłoby na zbiór liturgii, odprawianych pod protektoratem bizantyńskiego absolutyzmu.

Cywilizację łacińską ocaliła wówczas Francja z pomocą t. zw. reform klunijackich, uznanych przez papieża Grzegorza VII (1073 — 1085). Nastąpiła długa walka cesarstwa z papiestwem, będąca zarazem walką dwóch cywilizacji. Nie zwojowano jej do końca, bo konkordat wormacki r. 1122 był tylko kompromisem — i w Niemczech pozostały nadal obie cywilizacje.

Tymczasem kurczyło się cesarstwo bizantyńskie. Na tronie i koło tronu same mordy i wiarołomstwa, władza zaś przy tym, kto w zbrodniach bieglejszy. W tym stanie rzeczy dźwiga się na nowo Bułgaria. Cypr odpada, a z krucjatą zachodnią popada się w krwawe zatargi. Nastaje cesarstwo Łacińskie (1204 — 1261) i szereg drobnych państewek. Nowa dynastia Paleologów nie zdołała już odzyskać poprzednich granic państwa, uszczuplanych coraz bardziej przez Bułgarów, Serbów i Osmanów, dających się już dotkliwie we znaki od r. 1282. Ku połowie XIV wieku szukał władca bizantyński (Kantakuzenos) schronienia i pomocy u Turków. Wkrótce zdobyli Turcy Gallipolis w r. 1356, w r. 1361 Andryanopol, w r. 1362 Filipopol, w r. 1365 zhołdowali sobie Bułgarię i Serbię. Od

r. 1390 opłaca cesarz bizantyński haracz Turkom, a państwo ogranicza się stopniowo do samej stolicy z okolicą. Wreszcie w r. 1453 zdobywają Turcy i stolicę.

Do jakiego stopnia państwowość bizantyńska była przegniłą, znać najlepiej z tego, iż najeźdźców tureckich chętnie witano. Słynny Jerzy Trapezuncki pisze panegiryk na cześć Mahometa II, w którym zdobywcę Carogrodu zowie „gwiazdą firmamentu". Kritowuł, mnich z Atosu, dedykuje sułtanowi swą pracę z „opisem sławnych dzieł" zdobywcy, którego został w końcu sekretarzem. Cerkiew bizantyńska zmieniła władzę i stała się teraz tureckiem *instrumentum status*. Nastało doskonałe porozumienie Fanaru z Kalifatem, coraz ściślejsze w miarę jak Porta, protegując prawosławie, stawiała zapory katolicyzmowi na Bałkanie. Kalifat łączył się również w zewnętrznej polityce z prawosławiem, bo tylko ze strony państw katolickich groziła liga antyturecka. Stosunki te trwały aż do połowy XVIII w.

Patryarchat carogrodzki staje na czele bizantynizmu, lecz sturczonego nie mało. Ekspanzja cywilizacji bizantyńskiej dokonuje się coraz wyłączniej w formie wyznaniowej, i jest agitacją zaczepną prawosławia przeciwko katolickiej Polsce. Obniża się też wielce poziom umysłowy rodzimego bizantynizmu.

Bez porównania wyżej stoi kultura niemiecko-bizantyńska. Zasada bizantyńska, jako Kościół ma być narzędziem władzy państwowej, nigdy w Niemczech nie wykorzeniona, wybuchnęła na nowo potężnie w protestantyzmie. Prowadziło się potem wojnę 30-letnią poto, żeby władza świecka rozstrzygała o wyznaniu ludności *(cuius regio, illius religio)*. Co gorsza, katolicyzm niemiecki tracił samodzielność moralną i zgadzał się z tą zasadą. Katoliccy władzcy niemieccy używali jej znów po swojemu, traktując Kościół jako zależne od siebie narzędzie swego panowania. Dziwna rzecz, że tego bizantynizmu niemieckiego dotychczas nie dostrzegano!

Natomiast dopatrywano się bizantynizmn tam, gdzie go nie było, mianowicie we wschodniej Słowiańszczyźnie. Z Cerkwi, „Kijowa i wszystkiej Rusi" wyrugowano wcześnie wpływy bizantyńskie, a wyrugowano je bezprzykładnem nieuctwem. Ruś popadła w zależność od cywilizacji turańskiej. Znać ją już w najdawniejszych dziejach Nowogrodu W. i w „Ruskiej Prawdzie". Chazarowie, Pieczyngowie, Połowcy sprzęgli się z Rusią wielostronnie i Ruś z nimi (małżeństwa mieszane były pospolite) tak dalece, iż już w XII w. znać pierwiastki jakiejś kultury mongolsko - słowiańskiej, podczas gdy o bizantyńskich wpływach głucho. A w r. 1224 Ruś sama sprowokowała wielki najazd Mongołów „Niebieskich", wyprawiając się aż na Kałkę w obronie Połowców. Następnie pod zwierzchnictwem tatarskiem, wybija się Moskwa, której państwowość była najzupełniej turańską, a za Iwana III zdecydowanem już było istnienie kultury turańsko-słowiańskiej.

Doniosłym nabytkiem z wpływów turańskich była kozaczyzna, znana w Azji jeszcze przed okresem dżinginshanów. Była to organizacja ściśle obozowa, która szerzyła się od kozaków rjazańskich, najpierw w dół Donu, następnie nad Dnieprem, jako zrzeszenie się w celach żołniersko-zarobkowych. Gdy nie stało żołdu, łupili. Użył ich potem za narzędzie han krymski i sułtan z pomocą Fanaru, żeby sparaliżować Polskę i nie dopuścić do koalicji antytureckiej. Były też długotrwałe i groźne wojny kozackie w państwie moskiewskim (chyba nie dla obrony prawosławia?).

W kraje moskiewskie miał wkroczyć bizantynizm dopiero z początkiem XVIII w. i to z Niemiec, gdy Piotr W. zarządził innowacje na wzór niemieckiego protestantyzmu, ściśle według Landeskirche, administrację zaś na modłę pruską. Kultura niemiecko-bizantyńska wywiera odtąd coraz silniejszy wpływ na Rosję oficjalną.

W samych zaś Niemczech bizantynizm reprezentowany był coraz dobitniej przez Prusy, popularyzujące bardzo skutecznie wszechmoc państwa, ujednostajnianie wszystkiego, i centralizowanie. Te metody jak cały bizantynizm wogóle udzielały się coraz bardziej i katolickiej części Niemiec, a Józefinizm był tego konsekwentnym wynikiem, gdy doprowadzał aż do tendencji, żeby nawet z katolicyzmu urządzić sobie Landerskirche, podległą samowoli monarchy.

Jest zaś w dziejach Niemiec jeszcze jeden przejaw bizantynizmu: brak idei narodowej. Najstarsza niemiecka pieśń patriotyczna pochodzi z r. 1812. Lessing, Herder, Goethe, Schiller, nie posiadali poczucia narodowego. Dopiero J. G. Fichte jest pierwszym patriotą niemieckim. Wnet zaczęło się uwielbianie niemczyzny, i zlało się następnie w jednym korycie ze statolatrią filozofii niemieckiej, z ubóstwieniem Prus.

Prusactwo jest bizantynizmu arcydziełem, a rozwój jego jeszcze nie skończony. Od połowy XIX wieku datuje jednak w Niemczech reakcja cywilizacji łacińskiej, reakcja katolicka, podnosząca głowę coraz śmielej. Rozwój ten zatrzymywany bywa siłą fizyczną kierunku bizantyjskiego. Znaczy się w Niemczech aż nazbyt supremacja siły fizycznej nad duchową, eliminowanie etyki z życia zbiorowego, kiełznanie społeczeństwa na rzecz organów państwowych.

Na Polskę nie oddziaływał nigdy bizantynizm z Bizancjum, lecz tylko kultura bizantyńsko niemiecka. Bywało to już za Piastów, zdarza się i obecnie. Nigdy atoli w Niemczech nie pokonano cywilizacji łacińskiej w zupełności; absurdalnem byłoby przypuszczenie, że pokona się ją w czasie, gdy ona stała się właśnie silniejszą niż kiedykolwiek. Ponawiane zaś próby syntezy obu cywilizacji skazane są z góry na niepowodzenie.

Dzieła tu cytowane (w porządku chronologicznym):

Ks. Władysław Grzelak: Nauka papieża Gelazego I. o autorytecie Stolicy Apostolskiej. Poznań 1922.

Tadeusz Zieliński: *La Sybille. Trois éssais sur la réligion antique et le christianisme. Paris 1924.*

Pierre Jouguet: *L'imperialisme macédonien et l'hellénisation de l'Orient. Paris 1926.*

Pierre Jouguet: *L'Egypte Ptolémaique. Paris s. a.*

Feliks Koneczny: Dzieje Rosji, tom II. Wilno 1929.

Feliks Koneczny: Rzekome syntezy religijne. „Przegląd Powszechny" 1930.

Ks. Leon Broel-Plater: Konstantyn W. i Kościół katolicki. Wilno 1933.

Bogumił Jasinowski: Wschodnie chrześcijaństwo a Rosja na tle rozbioru pierwiastków cywilizacyjnych Wschodu a Zachodu. Wilno 1933.

Ludwik Piotrowicz: Dzieje rzymskie. Warszawa 1935.

Ludwik Piotrowicz: Położenie ludności rolniczej w okresie późnego cesarstwa rzymskiego. Lwów 1935.

Feliks Koneczny: O wielości cywilizacji. Kraków 1935. tudzież por. Rodowód monizmu prawnego. „Myśl Narodowa" 1936. Nry 35, 36.

FELIKS KONECZNY

AUTOBIOGRAFIA CHESTERTONA

Z GŁĘBOKIEM wzruszeniem brałem do ręki „Autobiografię Chestertona"—ostatnie słowo ust, umilkłych na wieki. Usta te były nietylko wymowne, ale i czyste—płynęła z nich nieśmiertelna prawda, do której wielki pisarz doszedł w ciężkim trudzie walki wewnętrznej, nieledwie zresztą identycznej z walką zewnętrzną, prowadzoną przezeń z fałszywemi bożyszczami czasów. Pierwszą ukończył (i wygrał) wcześniej, w drugiej nie ustał do ostatnich chwil życia, które sobie niewątpliwie skrócił wytężającą pracą.

Stanowiło ono wielką jedność. Czy Chesterton zwalczał imperialistyczny najazd na Transwaal i Oranje, czy rozprawiał się z tołstojowską zasadą niesprzeciwiania się złemu, czy w czasie „afery Marconiego" stawiał pod pręgierzem korupcję, wynikłą z symbiozy polityki i plutokracji, czy rozwijał sztandar narodowy w czasie wojny światowej, czy przechodził na łono Kościoła rzymskiego, czy uderzał w międzynarodowy kapitał i międzynarodowy socjalizm, czy ośmieszał prohibicję, czy bronił Polski przed propagandą Niemców i niemieckich najmitów publicystycznych, czy dawał wyraz sympatii do Irlandii — był to bez względu na pozorne sprzeczności jeden i ten sam człowiek, konsekwentny w działaniu, był to posąg z jednej bryły. Tylko z biegiem czasu to, co było nieświadome, podświadome czy półświadome stawało się coraz bardziej tryumfalnie świadomem.

Wejście Chestertona w życie przypadło na koniec okresu wiktoriańskiego, na czasy sceptycyzmu, socjalizmu, imperializmu i ubóstwienia nauk ścisłych. Kierunek umysłowości Chestertona był zawsze humanistyczny, a imperializm zawsze przejmował go wstrętem. Natomiast złożył w młodości hołd sceptycyzmowi i socjalizmowi. Lecz nawet w tym czasie buntował się przeciw przekonaniom, mechanicznie nabytym od otoczenia. Jako sceptyk tak był głodny religii, że szukał jej namiastki w spirytyźmie. Spowiada się z tego jako z grzechu, co więcej uważa odpowiedzi ekierki za dzieło sił nieczystych i uzasadnia to dwoma przykładami. Dopiero po przeczytaniu tego ustępu rozumiemy genezę „Magii" i najefektowniejszej sceny tego utworu.

Młodego literata ponosił nieraz temperament bojowy. W czasie wojny południowo-afrykańskiej poszli razem z przyjacielem na wiec imperialistycznie nastrojonego tłumu. Wpadli na bajeczny pomysł sprowadzenia wojowniczego nastroju do absurdu i zaczęli wznosić okrzyki na cześć pionierów zaborczej polityki. Tłum wtóruje. Niech żyje Chamberlain! Niech żyje Rhodes! — Lecz przyszła kolej na inne znakomitości, „których nazwiska były równie symboliczne, jak nosy" — wiadomo, czyje interesa popchnęły były Anglię do wojny. Niech żyje Beit!—Poszło. Przy Ecksteinie zaczęto się wahać, a gdy nastąpił Albu, poznano się na kawale i przyszło do bójki. Chesterton stanął do boksu z jakimś bankowcem. Jak wypadły zapasy, nie dowiadujemy się, ale pod jednym względem napewno tragicznie. Czupurnemu literatowi ktoś ukradł podczas nich zegarek. Ten imperializm był konsekwentny, wierzył w politykę aneksji — brzmi komentarz.

Lecz rycerskość Chestertona objawiała się w czemś więcej, niż w gotowości do takiej walki, jakąby wybrał przeciwnik. Chesterton nienawidził pewnych idei, ale nigdy nie przenosił nienawiści na ich przedstawicieli. Bywał w polemice zawzięty, ale wyróżniał rzeczy od osób. Można powiedzieć nawet, że sympatyzował z oponentami. Klasycznym przykładem jest jego stosunek do Bernarda Shaw'a. Autobiografię zaś pisał u schyłku życia. Temperament złagodniał, a prawdziwie chrześcijański sposób myślenia czynił Chestertona niekiedy wprost zanadto wyrozumiałym i pobłażliwym dla ludzi, którzy na to nie zasługiwali.

T. zw. afera Marconiego urosła z faktu, że jeden z dwuch braci Isaacsów, Godfrey, był dyrektorem angielskiego oddziału spółki telegrafii bez drutu, drugi, Rufus, ministrem. Brat Gilberta Keitha Chestertona, Cecil, sam Gilbert Keith i jego serdeczny przyjaciel Hilaire Belloc napiętnowali fakt nabycia przez Rufusa, Lloyda George'a i jeszcze jednego ministra znaczniejszej ilości akcyj spółki w czasie, gdy rozstrzygała się sprawa nadania jej koncesji na Anglię o charakterze monopolu. Co więcej kryło się poza tranzakcją, trudno powiedzieć, ale już ona sama wykraczała przeciw dobrym obyczajom. Ostatecznie winnych wyprała komisja parlamentarna, choć było jasne, że podczas dyskusji w Izbie Gmin wypaczali prawdę, a nawet poprostu kłamali. Cecil Chesterton został za inne zarzuty, dotyczące przeszłości Godfrey'a Isaacsa skazany na grzywnę, a i Gilbert Keith doznał pewnych przykrości. Rzecz znamienna, że usiłuje on dla braci Isaacsów znaleźć okoliczności łagodzące. Bez żadnej ironii podkreśla w ich postępowaniu „typowo-żydowską cnotę", solidarność rodzinną.

Gdy Cecil poległ w wojnie światowej, Gilbert Keith ogłosił list otwarty do Rufusa Isaacsa (wówczas już lorda Reading). Mówi, że Rufus działał na szkodę narodu angielskiego, ale „na korzyść swej własnej krwi", a kłamstwa jego w Izbie Gmin wynikały ostatecznie z tych samych „głębokich uczuć lojalności rodzinnej", z jakich w danej chwili wynika boleść Chestertona. Lecz kończy słowami: „Pan jest znacznie nieszczęśliwszy, bo pański brat jeszcze żyje". Widoczna tu gorycz znikła z chwilą śmierci Godfrey'a, który na krótko przed nią przeszedł na katolicyzm. W „Autobiografii" Chesterton traktuje sprawę, która przecież polegała na zatruciu przekupstwem życia publicznego Anglii, zbyt łagodnie. Zapewnia również, że ani on, ani brat, ani Belloc nie powodowali się antysemityzmem i nie byli antysemitami. Powtarza jednak z naciskiem, że „Anglią nie może rządzić kapitalizm żydowski". Przebaczył po chrześcijańsku ludziom, co do przedmiotu sporu nie zna kompromisu.

Jak wytłumaczyć, że Chesterton zwalczał wojnę pałudniowo-afrykańską, a zajął stanowisko gorącego patrioty podczas wojny światowej? Mając w chwili jej wybuchu lat czterdzieści, byłby, jak młodszy brat, poszedł w pole, gdyby nie ciężka choroba. Ledwie trzymając się już na nogach, pojechał do Oxfordu, gdzie na zebraniu studentów uzasadniał wypowiedzenie wojny przez W. Brytanię. Po powrocie położył się do łóżka—i zaczął dyktować artykuł polemiczny przeciw Bernardowi Shaw, który wystąpił był z pacyfistyczną enuncja-

cją. Lecz musiał przestać. Nastąpiło kilka miesięcy cierpień i niebezpieczeństwa, w pewnym momencie sądzono nawet, że to koniec. Natychmiast jednak po jakiem takiem przyjściu do sił, wziął się Chesterton do pracy propagandowej. Jego broszura „Zbrodnie Berlina” zdziałała dużo w krajach neutralnych. Napisał też wówczas „Zbrodnie Anglii”.

Wymienia tu na pierwszem miejscu kwestię irlandzką, ale wszystkie zbrodnie wywodzi z germanizacji sposobu myślenia, jaką Anglikom przyniosła reformacja, a potem niemiecka dynastia — i broszura zamienia się w akt oskarżenia przeciw pruskiemu militaryzmowi. Spotykamy tu znamienne słowa: „Strawiłem większą część życia na krytykowaniu i potępianiu obecnych rządców i urządzeń ojczyzny. Sądzę, że jest to bezsprzecznie najbardziej patriotyczna rzecz, jaką ktoś może czynić”.

Chestertonowi burzyła się w żyłach krew na widok Anglii, pochłaniającej republiki burskie. Kochał ją tak, że nie chciał, aby gwałciła prawo do życia innych. Bo prawo to przyznawał każdemu, a szczególnie sympatyzował ze słabymi i ciemiężonymi. Stąd jego stosunek do Transwalu, do Irlandii—i do Polski. Ustęp poświęcony podróży do niej, pełen jest sentymentu, co więcej podyktowany jest chęcią wpłynięcia na naszą korzyść na opinię angielską, zawiera nawet rodzaj groźby.

„Spotkałem wielkiego Piłsudskiego, a ten imponujący i dość ponury rycerz fortuny powiedział mi mniej więcej, że z d w o j g a” (podkreślenie Chestertona) „woli Niemcy od Rosji. Jest równie jasne, że jego współzawodnik Dmowski, który nas również gościł w swojem wiejskiem ustroniu, osądził, że z d w o j g a” (j. w.) „woli Rosję od Niemiec”. A więc Polacy „mają zawsze wybór z pośród dwojga złego”. Chesterton pisał zapewne przed paru laty, gdy w prasie angielskiej, czerpiącej przeważnie natchnienie od naszych wrogów, wypływały wciąż pomysły odebrania nam częściowo lub zupełnie Pomorza. Dawał więc do zrozumienia, że Polska ma możność zwrócić się przeciw państwom zachodnim razem z Rosją.

Skoro już wspomniałem Dmowskiego, warto z „Autobiografii” przytoczyć epizod z dawniejszych czasów. Profesor edynburski Sarolea, będąc z Dmowskim u Chestertona dokuczał Polakowi, zwalczając jego antysemickie poglądy: „Ostatecznie pańska religia pochodzi od żydów”. — „Moja religia pochodzi od Jezusa Chrystusa, którego żydzi zamordowali”, brzmiała replika.

Polacy przypominają Chestertonowi Anglików bardziej, niż którykolwiek inny naród. Obiecywał sobie przyjechać do nas ponownie na dłużej i jeszcze w „Autobiografii” zapowiadał osobną książkę o Polsce. Niestety jedno i drugie nie mogło się spełnić.

O ile idzie o krótki pobyt Chestertona w roku 1927, to jako klasyczny świadek, który towarzyszył mu przez trzy dni, poświęcone Lwowowi, mogę stwierdzić jego żywą sympatię, nadzwyczajną bystrość w orientacji w obcem bądź co bądź środowisku, wreszcie wielki takt i zaufanie do gospodarzy i przewodników. Konsul angielski tłumaczył mu w rozmowie w cztery oczy, że powinien złożyć wizytę metropolicie Szeptyckiemu. Chesterton powiedział mi to i dodał: „ale ja zdaję się na pana i zrobię to, co mi pan doradzi”. Ja zaś poradziłem posłać bilety wszystkim trzem arcybiskupom — i na tem stanęło. Zapewne również za ingerencją konsula poprosił mnie Chesterton o przyprowadzenie na rozmowę jakiegoś zwolennika rządu, gdyż chciał pomówić z nim o kwestii ruskiej.

Przyprowadziłem mu późniejszego premiera, prof. Leona Kozłowskiego. Nawiasem mówiąc, posiadam cenną pamiątkę—autokarykaturę wielkiego pisarza, który niegdyś chodził był do Szkoły Sztuk Pięknych, narysowaną kilku pociągnięciami ołówka na białym spodzie pudełka po cukierkach. Przedstawia go ona stąpającego po skałach tatrzańskich (wrócił był z Zakopanego).

Wróćmy jednak do „Autobiografii”. Chesterton zadaje sobie pytanie, co go we wczesnej młodości popchnęło do socjalizmu. Takie już były czasy, narzucały wybór między imperializmem a socjalizmem. Lecz on czuł się zawsze „niechętnym socjalistą”. Nie mógł wyzbyć się uczuć patriotycznych, a nawet gdy zwalczał wojnę południowo-afrykańską, nie czynił tego jako pacyfista. Uważał, iż Anglia nie ma prawa najeżdżać kraju Burów, lecz oni mają wszelkie prawo go bronić. Zaczęła go też u socjalistów razić niekonsekwencja, którą ujmuje w słowach: Jak można twierdzić, że „wieśniak nie ma prawa do własnego pola, a ogół wieśniaków ma prawo do pól naftowych?” Wszechwładza państwa kłóciła się z jego umiłowaniem wolności. Zanadto kochał upośledzonych, aby mógł zgodzić się na ich wydanie na jej pastwę. Zorientował się, że pod tym względem socjalizm i kapitalizm w praktyce mają jednakowe konsekwencje, i stał się fanatykiem własności prywatnej.

Swej ewolucji religijnej nie poświęca on osobnego rozdziału, ale łatwo ją zrekonstruować ze wzmianek, rozrzuconych po całej książce. Nastręcza się ciekawe spostrzeżenie: Już na podstawie takich pism, jak „Heretycy” (1905), lub wkrótce po nich wydana „Prawowierność” można było Chestertona wziąć za katolika. Był też nim niewątpliwie z przekonań, lecz daleko było do samowiedzy i do formalnego nawrócenia się. Te rzeczy przyszły znacznie później. Rozstrzygający moment stanowił sakrament pokuty. Z nieprzepartą siłą pociągała wielkiego pisarza myśl o odrodzeniu duchowem, jakie przynosi rozgrzeszenie. „Sakrament pokuty daje nowe życie i godzi człowieka z życiem... Za ten dar trzeba zapłacić pewną cenę i warunkiem jest spowiedź. Innemi słowy cenę stanowi prawda, którą można również nazywać rzeczywtstością, ale tu idzie o spojrzenie w twarz rzeczywistości co do siebie samego”.

Jedną z cech Chestertona jest, że nie uznaje on rzeczy godnych lekceważenia. Silne poczucie jedności wszelkich zjawisk, płynącej z działania Opatrzności, każe mu zwracać uwagę na drobnostki, a nawet wnioskować z nich o najgłębszych zagadnieniach bytu. Ostatni rozdział „Autobiografii“ poświęcony jest stosunkowi do Boga. Chesterton udowadnia Jego istnienie mniej więcej tak, jak czynił to sławny angielski apologeta XVIII wieku, który mówił: „Jeżeli jest zegarek, musi być i zegarmistrz”. Lecz Chesterton nie weźmie za przykład rzeczy tak skomplikowanej, jak zegarek, lub

tak imponującej ogromem, jak np. ocean lub niebotyczne góry. Wybierze za punkt wyjścia niewinną rozkosz, jaką sprawia człowiekowi gałązka rozkwitłych lwich pyszczków.

Poza zanotowanemi tu tematami przynosi „Autobiografia" wielkie bogactwo treści, na którego wyczerpanie brak mi miejsca. Roztacza ona barwny obraz życia literacko - dziennikarskiego Anglii przedwojennej, zawiera wyborne sylwetki z tego świata i z poza niego (np. z pośród polityków), wreszcie na każdej stronie prawie napotykamy uwagi o kwestiach społecznych, politycznych, literackich i artystycznych, zazwyczaj ujęte w formę paradoksów, a przecie głęboko prawdziwe.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

REKS

POCZĄTKI REWOLUCJI NARODOWEJ W BELGII

I

REKS. Wyraz ten lotem błyskawicy obiegł świat cały. Dzienniki wymieniały ten wyraz powściągliwie. Po stronie katolickiej wiedziano jedynie tyle, że przywódca Reksu, Leon Degrelle był duszą belgijskiego, katolickiego ruchu młodzieży. Gazety lewicowe cieszyły się początkowo z narodzin świeżego ruchu, mniemając, że Leon Degrelle, który ustąpił z organizacji katolickich, zboczy—za wzorem francuskim — na lewo. Było to jednak złudzenie, któremu ulegli również wszyscy ci, co łączyli ten ruch z hitleryzmem, gdy tymczasem nawet z faszyzmem nikła bodaj nić go nie wiąże.

Ruch—Reks rozpoczął swoją działalność w roku 1932 cicho, bez rozgłosu, nie budząc żadnego zainteresowania w sferach liberalnej prasy belgijskiej. Kilku słuchaczy uniwersytetu porozumiało się między sobą i postanowiło czegoś dokonać. Dzisiaj wyznają, że sami nie zdawali sobie sprawy z tego, czego pragnęli, zamierzali jedynie podjąć jakieś wielkie dzieło. Wszyscy byli członkami belgijskich, organizacyj młodzieży wchodzących w skład Akcji Katolickiej A. C. J. B. (monogram organizacji) w r. 1927 rozwinęła bardzo wpływową działalność w kołach belgijskiej młodzieży katolickiej i podczas okresu swego rozkwitu ciągnącego się do r. 1930 osiągnęła bardzo wielkie wyniki.

Prawdziwe, religijne odrodzenie wywołał ruch A.C.J.B., który z wielkiem powodzeniem szerzył się głównie w kołach słuchaczy uniwersytetu. Ruch ten popełniał jednak bardzo wielki błąd: zajmował się tylko sprawami duszy. Zapominał o toczącem się wartko dokoła niego życiu i z bierną obojętnością spoglądał na wielkie, polityczne parcie naprzód lewicy. Młodzież ostrzegano przed uprawianiem polityki, która nie do niej należy. Być dobrym katolikiem znaczyło tyle, co uczynić zadość obowiązkom religijnym i głosować czasami na katolickich kandydatów do izb ustawodawczych lub władz municypalnych.

Kilku młodych słuchaczy uniwersytetu, z których większość odbywała studia na wszechnicy w Louvain, a w katolickich organizacjach wybitniejszą odgrywała rolę, postanowiło zerwać ze sztywną, polityczną działalnością i za pomocą katolickich organizacyj stroniących od czynnego życia oraz za pośrednictwem młodych, katolickich mas odwiedzionych od obłudnej polityki, powołać do bytu ruch, który będzie się rozciągał na całą Belgię.

Oczyszczenie duchowe! to stało się ich hasłem. Rozumieli przez nie przywrócenie czystej atmosfery w polityce, przemyśle, handlu i wogóle życiu publicznem. Pierwsi zwolennicy ruchu skupili się wokół słuchacza uniwersytetu, Leona Degrelle'a, który we wspomnianym okresie rozkwitu katolickich organizacyj młodzieży rozwijał bardzo ożywioną działalność. Ciekawe, że pierwsze ich poczynania szły po linii zainteresowań literackich. Degrelle, który odznaczał się tak wielkiem poczuciem realnego życia, założył literackie i artystyczne czasopismo pod nagłówkiem „*Soirées*", pierwej zaś, jeszcze jako zgoła młody człowiek, bo liczący dopiero 24 lat życia, stał już na czele religijnego, wydawniczego przedsiębiorstwa, założonego przez belgijską Akcję Katolicką.

Tymczasem wśród młodzieży zgromadzonej wokół Degrelea poczęto snuć plany polityczne a Reks jął wydawać nowy dziennik p. t. „*Vlan*", który był już wszakże bojowym organem politycznym. Degrelle chciał najpierw mieć w ręku narzędzie polityki a dopiero potem zacząć polityką uprawiać. „*Vlan*" podjął „moralną kampanię oczyszczającą zabagnione stosunki" a pierwszą jego upatrzoną ofiarą był dyktator finansowy Belgii, wszechpotężny Francqui. Napastniczy ton dziennika, oraz jego śmiałość — wszystko to wywołało ogromne wrażenie w całej Belgii a upatrzone dla odbycia „kuracji oczyszczającej" osoby otrzymywały odeń kolejno tęgie razy.

Pomyślnem następstwem podjętej kampanii było to, że opinia publiczna zwróciła baczniejszą uwagę na nowy ruch i z życzliwą aprobatą śledziła dalsze poczynania reksistów. Oczyszczająca kampania dotknęła jednak do żywego zainteresowanych, toteż reakcja nie dała na siebie długo czekać.

Odważny dziennik starano się zmusić do milczenia od strony materialnej. Cofnięto kredyty a napadani przez tę gazetę przywódcy katoliccy usiłowali również uniemożliwić Degrelle'owi wydawanie dziennika. Prawda, jak zwykle, znalazła się pośrodku. Wyszło mianowicie na jaw, że ruch —Reks liczy o wiele więcej zwolenników, niżli atakowani przywódcy mniemali. Młodzież belgijska z własnego zaoszczędzonego kieszonkowego zebrała potrzebne sumy, a jakkolwiek położenie zdawało się już-już rozpaczliwe i beznadziejne, mimo to znów rozniósł się po Belgii słynny zew reksistów: „*Rex vaincra*", Reks zwycięży. Kłopoty finansowe szybko opanowali, swoją kampanię wzmocnili, a zew zrodzony w chwili materialnej potrzeby stał się znanem powszecznie mottem ruchu.

II

Wskutek napaści podjętych ze strony katolickiej Reks przeciął zupełnie nawet te luźne węzły, które łączyły go jeszcze z Akcją Katolicką i rozwinął się w niezależny ruch polityczny. Zerwał z dotychczasową taktyką katolicką i do wstępowania w szeregi swego obozu wezwał zarówno wyznających wiarę, jak i niewierzących. Udało mu się przez to poczynić bardzo skuteczne kroki ku zawarciu wyznaniowego pokoju.

Zapaleni stronnicy Reksu — studentki, urzędnicy, terminatorzy, w wolnych chwilach, jako dobrowolni sprzedawcy gazet rozkrzewiali dzienniki ruchu. Albowiem tymczasem ruch objął swoim zasięgiem również prowincje famandzkie, wobec czego wyłoniła się konieczność wydawania „*Vlan*'u" w języku niemieckim i flamandzkim, co też niebawem uskuteczniono.

Od tej chwili Reks szerzył się na kształt lawiny a w zimie 1934 r. za pomocą szeregu urządzonych przez się wieców powiększył znacznie kadry zwolenników swego obozu. Wiece te były próbami ogniowemi młodzieży skupionej wokół Reksu. Degrelle oraz jego sztab partyjny wdzierali się śmiało do najradykalniejszych lewicowych i komunistycznych osiedli fabrycznych i kolonij robotniczych. Udało im się również przełamać zorganizowany opór lewicy, to też nic dziwnego, że na wiecach Reksu huk strzałów rewolwerowych przeplatał często przemówienia młodych mówców.

W ciągu tej zimowej kampanii Reks miał już swych pierwszych męczenników, co jeszcze bardziej zwiększyło liczbę jego zwolenników i wzmogło entuzjazm stronników ruchu. Interesującą rzeczą będzie wspomnieć, iż w maju 1935 r. na jednym z wieców Reksu zebrało się 4000 płacących za udział w nim słuchaczy. A jednak o szerzącym się coraz bardziej ruchu dzienniki belgijskie,--które przeważnie egzystują za pieniądze liberalnego i żydowskiego kapitału i jego interesom się wysługują—ani jednem bodaj słowem nie wspomniały. Za powziętą wspólnie decyzją chciały przez przemilczenie zahamować rozwój tego niebezpiecznie dla nich prosperującego ruchu prawicowego.

III

Przywódcy Reksu odczuwali żywo, iż mimo osiągniętych przez nich wyników, Reks nie rozwinął się w ogólny ruch narodowy. Większość zwolenników Reksu rekrutowała się z ludzi całkiem młodych. To też sztab partyjny postanowił wziąć za podstawę działania jakieś już istniejące ramy organizacyjne. Jako najodpowiedniejsza do tego celu nadawała się federacja belgijskich katolickich stowarzyszeń, które stanowiły wszak punkt wyjścia dla całego ruchu. Federacja ta w drugiej połowie listopada 1935 r. zarządziła w Courtrai kongres katolicki za r. 1935. Reksiści stwierdzili, że z tą organizacją łączy ich najwięcej wspólnych węzłów, wobec czego opanowanie tej organizacji zdawało się być najbardziej odpowiednie dla celów Reksu.

Tymczasem jednak po przewlekłych debatach zaniechano również tego planu. Wspomniana mianowicie federacja katolików belgijskich straciła podówczas węzły łączące ją niegdyś z najszerszemi masami narodu, a w ten sposób reksiści za cenę bardzo ciężkich i żmudnych walk ryzykowaliby opanowanie organizacji, która mogła być jedynie kłodą u nóg rwących się do czynu reksistów, a nie siłą pchającą do aktualnej polityki. A jednak temu pierwotnemu zamysłowi może zawdzięczać Reks swoje powodzenie o sile przebojowej.

Na wspomniany kongres katolicki, który zdobył już sobie rozgłos historyczny, przybyło 300 reksistów. Podczas trwania obrad kongresu przywódca Reksu, Leon Degrelle poprosił o głos, którego odmówić mu nie śmiano. Jego przemówienie, które utrzymane było w bezprzykładnie ostrym i silnym tonie, wywołało niesłychany skandal. Skandal ten dzienniki lewicowe chciały zrazu przemilczeć, ale w kilka dni po kongresie najpoczytniejsza gazeta belgijska komentowała całymi tygodniami niebywale śmiałą mowę Degrelle'a. W mowie swej Degrelle oskarżył przywódców katolickich cieszących się powszechnym szacunkiem o to, że mają konszachty i kokietują lewicowe sfery finansowe.

Od chwili wywołania tego skandalu potroił się, a nawet wkrótce wzrósł czterokrotnie nakład wydawnictw prasowych Reksu. Wszystkie warstwy społeczne z żywem zainteresowaniem jęły odnosić się do Reksu, który od czasu starcia w Courtrai postradał wszelkie religijne, katolickie zabarwienie i postanowił dokonać zjednoczenia całego narodu bez względu na różnice wyznaniowe. W tym czasie, po ulicach Brukseli, urządzano słynne pochody z miotłami, co obok kampanij oczyszczających było udaną propagandą ruchu.

IV

W grudniu 1935 r. Reks teraz już znany powszechnie i popularny podjął z jeszcze większą, niż dotychczas, siłą swoją „kampanię oczyszczającą zabagnione stosunki". Z tygodnia na tydzień wybierano coraz nowsze ofiary z pośród wybitnych osobistości świata finansowego i handlowego, by je postawić pod pręgierz belgijskiej opinii publicznej. Ofiarą taką był już to liberalny fabrykant, już to bankier żydowski, już to kierownicza osobistość z pośród katolickich hurtowników. Ruch stał się do tego stopnia popularny, że w czasie wyborów zwolennicy Reksu wybrali 21 posłów i 12 senatorów. Wybory zaś te rząd ogłosił nagle, tak że zaledwie trzytygodniowy okres przygotowawczy mieli reksiści do rozporządzenia. Sam Degrelle w ciągu walki wyborczej wygłosił 120 mów.

Dzięki wynikom odniesionym w walce wyborczej Reks wygrał drugą swoją bitwę, to też obecnie pozostawała do załatwienia kwestia właściwego zorganizowania ruchu. Wszelkie przygotowania do wyborów, które—jak wspomniano powyżej—spadły nagle niby grom z jasnego nieba, mogły być tylko improwizacją. To też po odniesionych wielkich wynikach podjęto dzieło wypracowania programu i kierowania bojami parlamentarnemi, w których młodzi przedstawiciele Reksu bardzo zręcznie dotrzymują placu.

(Dok. nast.) ZBIGNIEW ZAŁĘSKI

NA WIDOWNI

Stare zobowiązanie, ale aktualny temat. — Błędy feminizmu i jego prawdy. — O szczytności powołań kobiety. — Stare prawdy są zawsze najlepsze.

JESZCZE w lutym otrzymałem z Łodzi od jednej z czytelniczek list z prośbą, bym którąś ze swoich „widowni" poświęcił sprawom kobiecym, zwłaszcza „konieczności przemiany wewnętrznego ja". Więc teraz jako że zawsze „lepiej późno niż nigdy", chciałbym właśnie zająć się tym tematem i napisać, co o tem myślę.

Tembardziej, że temat bardzo a bardzo aktualny. Przecież nowa epoka będzie nową tylko wtedy, gdy potrafi mieć nowego człowieka, gdy on przemieni swoje wewnętrzne ja. W naszych zaś łacińskich społeczeństwach taka przemiana od kobiety się zaczyna, a w każdym razie na niej gruntuje. Można ułożyć przemądre konstytucje, wprawić w ruch imponujący aparat państwowy, nie wiem co popakować w programy szkolne, — ale jeśli nie zjedna się do tego wszystkiego kobiety: matki i żony, wszystko to prędzej, czy później napewno diabli wezmą.

A więc Polska katolicka i narodowa — słowem wielka — musi mieć swój typ kobiety, odpowiadający tym trzem warunkom: — wiary, patriotyzmu i upartej dążności do ideału. — O dwóch pierwszych: wierze i ojczyźnie mówić nie potrzeba, bo one dla nas wszystkich są jednakowe i nie może tu być żadnych specjalnych nauk dla kobiety, — ale to trzecie jest już inne i największą pomyłką życiową jest dla kobiety kiedy dąży do nie swoich ideałów.

A tymczasem wszystkie ostatnie prądy tylko to usiłowały robić i pchały kobietę najniesłuszniej w imię realizacji jej rzekomych praw do niemądrego naśladowania mężczyzn. Kazały jej bez żadnej potrzeby im „dorównywać", jakgdyby ona niższą była. Niby więc bardzo feministyczne i bardzo strzegące praw kobiecości, wychodziły jednak z pewnego jej zasadniczego poniżenia, poniżenia oczywiście niesłusznego i niezgodnego z prawdziwą linią naszej cywilizacji.

Jeśli bowiem chodzi o naszą cywilizację to patrzy ona na kobietę bardzo idealnie i bardzo wysoko; nie darmo jej zasadniczym pierwiastkiem jest kult mariański i nie darmo Matka Boska jest matką nas wszystkich. A i genetycznie nawet aż do historii stworzenia sięgając, nie ma w naszem myśleniu absolutnie nic, coby obniżało kobietę, czy dawało jej jakieś drugie miejsce. Ma ona miejsce inne, może nawet wtórne, ale nigdy drugie, a gdy chodzi o pewne strony życia i pewne oblicze cywilizacji tak szczytne i pierwsze, jak nigdzie po za katolickim światem.

Zastanówmy się bowiem nad tem, jaki jest tego początek sięgający jak już wspomniałem, aż do historii stworzenia. Kobieta, jak to słusznie podkreśla Raissa Maritain, żona słynnego filozofa — ma początek fizyczny, dostojniejszy o wiele od mężczyzny. Nie została ona jak on ulepiona z gliny, ale stworzona z Adamowego żebra jest pośrednio tylko prochem ziemi. Także i tem tu góruje, że w raju właśnie została stworzona, gdy Adam już po stworzeniu, później do niego był wprowadzony. Jest więc kobieta jakby bliższa Boga i doskonalsza, i dlatego też od niej tylu rzeczy się wymaga, ale zawsze wielkiego, szczytnego i pięknego.

A więc pierwsza konkluzja — kobieta powinna zawsze pamiętać, że nie potrzebuje wcale i w niczem dorównywać mężczyźnie, bo nie jest wcale niższą. Przeciwnie mężczyzna jej pod wieloma względami może dorównywać i to ona go zbliża do ideału, z samej natury swojej będąc nosicielką tego co dobre i piękne. Powinna się więc wyrzec fałszywego feminizmu, właśnie dlatego by jaknajpełniej być sobą.

Tylko jak zawsze trzeba zrozumieć słowa. Feminizm był (czy może jest) zły, bo niewłaściwie, po heretycku ujął pewne niewątpliwe prawdy, które choć wypaczone są jednak zawsze prawdami. A więc — prawa polityczne kobiet naturalnie, że są słuszne, prawa kształcenia się taksamo, choć absurdalnemi różne sawantki zadające kłam swej naturze, prawo do pracy — już raczej nieszczęsną koniecznością chorego organizmu gospodarczego, i t. d. i t. d. Nie trzeba więc zwalczać różnych zdobyczy feminizmu, lecz tylko owo jego zgubne w konsekwencjach zasadnicze nastawienie. I tutaj żadnym retrogradem być nie można — pod jednym tylko warunkiem: niech kobieta zawsze zostanie sobą. Kościół tak właśnie pojmuje tę sprawę — wciąż przypomina kobiecie jej istotną rolę, ale nie pozbawia jej niczego, nie zamyka żadnej drogi. Zniósł więc przysięgę posłuszeństwa w małżeństwie uznając jej osobowość. I czyż mężczyzna cokolwiek na tem traci, czyż nie piękniejszym jeszcze staje się ten związek, oparty już na naprawdę jednem bo wspólnem, dobrowolnie przyjętem zdaniu?

Więc z kolei konkluzja druga — kobieta musi być sobą i chociaż współcześnie, chociaż w nowy sposób, ale dążyć do swoich, odwiecznych ideałów, a nie szukać jakichś nowych. Dobrze zawsze wiedzieć, że są dziedziny, w których doskonalszego nie ma i w których się nic nie wymyśli, nic nie odmieni. Dobrze się więc trzymać starych prawd, a prawda często przemawia ustami dzieci.

Zdarzyło się więc, że w jednym dziecinnym pokoju, gorąco rozprawiano kto czym będzie jak dorośnie — projekty były najrozmaitsze bardzo pod wrażeniem chwili wybrane, ale ośmioletnia Marysia powiedziała rzecz głęboką, choć śmiesznie, że chce być „żoną męża, tak jak mamusia".

I trudno lepiej określić, to czem być powinna przez całe swoje życie kobieta; lepiej chyba to powiedziała tylko Halszka Zbaraska mówiąc że życie użyć trzeba „na kochanie". Bo naprawdę cała moc kobiety w kochaniu i całym jej genjuszem dobroć. To właśnie, że ma ona bardzo wewnętrzną, bardzo zamkniętą arenę działania jest poniekąd jej pierwszeństwem. Będąc natchnieniem, jest jakby duszą duszy swego męża i przez nią mężczyzna tworzy to wszystko, co niby od niej takie dalekie i takie strasznie po za nią.

I wyobraźmy sobie teraz na chwilę (a poniekąd niestety to rzeczywistość), że kobieta nie chce być sobą, że ma dosyć odwiecznych ideałów, że ze swojej roli statycznej chce też przejść do dynamizmu męskiego, że w świecie nie ma ani mężczyzn, ani kobiet — ale tylko ludzie różni płcią i ubraniem, ale nie myśleniem i trybem życia. I wtedy odrazu gmach naszej cywilizacji zburzony, bo nie ma domu, nie ma rodziny i nie ma szczęścia. Wtedy nikt nie jest zadowolony, bo naruszona cała harmonia uzupełnień, gdzie tak doskonale

odpowiadają sobie męskie i kobiece. No i tysiące jeszcze następstw, aż do depopulacji włącznie, bo w tem społeczeństwie koleżeńskich ludzi (znowu proszę uważnie czytać moje słowa) na macierzyństwo miejsca niema, choćby już z samych fizycznych przyczyn.

A tymczasem prawdziwa kobieta jest zawsze nie tylko żoną, ale i matką, bo to nierozłączne rzeczy. Któryś tam esteta, nie skleję już jaki i kiedy, powiedział, że potędze męskiej zrównać w pięknie może tylko kobieta z dzieckiem na ręku. Sądzę, że możnaby to inaczej powiedzieć, może nawet doskonalej, ale sama rzecz bardzo jasna. Rodzina, dom, wogóle wszystko to co wewnętrzne, stałe jest światem kobiety i to są jej ideały, tu jej właściwa droga.

Ideał bardzo szary powie ktoś — bardzo piękny i bogaty odpowiem. Rodzina jest bowiem pra-społeczeństwem, dom pra-państwem, a wychowanie największą z twórczości. Kobieta ma w swoich rękach zawsze dwie dusze — duszę mężczyzny który ją kocha i duszę dziecka. To władztwo nadzwyczajne i marnowanie go jest największem z jej grzechów.

I jeszcze tym wszystkim, co wbrew naturze, wbrew logice, gonią gdzieś gwiazdami i szukają szczęścia nie tam gdzie ono naprawdę jest, proste i dostępne — powiem tylko, że wogóle nie ma małych ideałów bo każdy ideał jest wielki. Że coś jest niepozorne, małe czy trudne to nie znaczy wcale, by w tem wszystkiem nie drzemała ukryta wielkość. Wielkość jest w nas samych i byle chcieć, we wszystkiem ją się odnajduje, gdy w swoją pracę kładzie całą duszę. Tam gdzie nas Bóg postawił, tam nasza wielkość, i nasze szczęście i nasze istotne zadanie.

Niech więc kobieta nie zazdrości mężczyźnie, że jest inna, że to nie ona pisze historię świata; bo za to ona pozwala mu ją pisać i uosabia wszystko to, w imię czego on ją pisze. Każde z nas ma swoją rolę i niech się jej trzyma. Wracać do starych uznanych prawd — oto najkorzystniejsza, najpotrzebniejsza przemiana wewnętrznego ja.

KAROL STEFAN FRYCZ

ZE ŚWIATA

PAKT WŁOSKO-JUGOSŁOWIAŃSKI

PAKT włosko-jugosłowiański, podpisany niedawno przez hr. Ciano i Stojadinowicza jest niewątpliwie wydarzeniem dużej wagi. Przedewszystkiem dla tego, że wzmacnia powagę i stanowisko Mussoliniego na półwyspie Bałkańskim, a tem samem na Adriatyku oraz morzu Śródziemnem, po drugie, iż jest niewątpliwie krokiem naprzód w kierunku pacyfikacji Europy przez przygaszenie ognisk zapalnych, jakiemi były spory o Fiume, Dalmację, Istrię, o faktyczny protektorat nad Albanią, wreszcie, iż jest ciosem wymierzonym w zasadę „zbiorowego bezpieczeństwa” uosobioną w instytucji Ligi Narodów. Zignorowanie Genewy jest jeszcze jednym przejawem cichej ale konsekwentnej i skutecznej walki, jaką prowadzą Włochy faszystowskie z Anglią, która do liczby swoich protektoratów — sieci imperialnej włączyła ostatnio i faktyczny protektorat nad Ligą, co uwidoczniło się szczególnie podczas dokonywania przez dyktatora z placu Weneckiego aneksji Abisynii.

Ale tu nie koniec sukcesu polityki włoskiej. Przez akt białogrodzki zasięg jej wpływów posunął się mocno na północ, tak, że obecnie śmiało można powiedzieć, iż wkroczył na teren Europy Środkowej. Czy więc można mówić zupełnie bez zastrzeżeń o świeżo zawartym pakcie jako o kontynuacji polityki porozumienia Rzym — Berlin? Przecież właściwie Rzym wkracza obecnie na terytorium leżące w granicach ambicji Niemiec narodowo-socjalistycznych. I nie tylko tutaj, w naszem sąsiedztwie, ale również i na ziemiach hiszpańskich, gdzie obecna koalicja faszystowsko-hitlerowska łacno się może po całkowitem zwycięstwie generała Franco przemienić w rywalizację o wpływy, Mussolini bowiem nie tylko śmiałą aneksją Abisynii, ale również chociażby podpisem swego ministra spraw zagranicznych hr. Ciano i podpisem premiera królestwa Jugosławii Stajadinowicza udowodnił, iż jest kierownikiem polityki naprawdę w stylu imperium.

Nasz stosunek, albo właściwiej—głosy naszej prasy na temat faktów powyższych wydają się nieco dziwne.

Oficjalna „Gazeta Polska” w artykule „Realizm polityki jugosłowiańskiej” pisze co następuje: „Wiadomość o porozumieniu włosko-jugosłowiańskiem opinia publiczna w Polsce rejestruje z dużem i szczerem zadowoleniem. Oba narody, zarówno włoski, jak jugosłowiański, które po latach sporów i niesnasek weszły na drogę zgodnej współpracy, cieszą się w Polsce wielką sympatią. Z Włochami łączą nas silne węzły kultury łacińskiej... i t. d.” Przepraszam, ale to jest liryzm najczystszej... wody a nie polityka.

Drugi organ oficjalnej polityki „Kurier Poranny” tak znowuż kończy swój wstępny artykuł: „Wszyscy zwolennicy konsolidacji pokoju w Europie mogą być zadowoleni”. Czy nam tylko chodzi o pokój?

Radość przedstawicieli urzędowego kursu jest wyrazem minimalizmu politycznego, braku działania na taką skalę, jaka imponuje u Mussoliniego. Obszar, który dzisiaj wchodzi w orbitę wpływów włoskich, winien się znajdować w orbicie naszych wpływów. Kwestia to nawet nie tak ciężka i skomplikowana jak to sobie niektórzy wyobrażają. (Niestety — łatwo o wyobraźnię w kierunku negatywnym).

Całe południe Europy patrzy na nas, tylko my jakoś tego wzroku dostrzec, a co za tem idzie, przyjąć nie potrafimy. Z układu omawianego właśnie potrafiliśmy jedynie wykrzesać tyle dumy, ile starczy na stwierdzenie, że myśmy to właśnie pierwsi weszli na drogę polityki porozumienia bez oglądania się na Ligę Narodów. Tylko tyle dumy i tylko z tego powodu?

Doprawdy—diabelnie mało...

DWIE LINIE PODZIAŁU

UWAGA całego świata skupiła się przed kilkunastu dniami na pojedynku wyborczym Degrella przywódcy katolicko narodowych belgijskich „rexistów” z premierem van Zeelandem. Pojedynek odbył się w Brukseli i zakończył się porażką „Rexu”. Degrelle nie miał wcale nadziei zwycięstwa, jakby się pozornie zdawało, pragnął tylko wylegitymować się swoją siłą, udowodnić, że właśnie rośnie w tę siłę. Wynik pokazał, że tak nie jest. Czy rzeczywiście tak nie jest?

Zastanówmy się przez chwilkę, co przeważyło szalę na stronę van Zeelanda. Prasa podaje, że ujawnienie tajnego układu z Flamandami i odezwa Prymasa Belgii, kardynała van Roy'a.

Nie będziemy w tej chwili roztrząsali treści owego układu, skonstatujemy tylko jedno, że stanowił on niebezpieczeństwo dla interesów Anglii, która nie dopuszczała nigdy na przestrzeni całej historii i nie dopuszcza — jak się okazało dzisiaj do możliwości jakichkolwiek innych, wpływów na wybrzeżu flamandzkim, poza wpływami brytyjskimi wyrażającymi się tylko choćby w czuwaniu. Pilnem czuwaniu. To też po ogłoszeniu wyniku plebiscytu radość zapanowała przedewszystkim w Londynie. Cieszył się zresztą nie on jeden. I inne centra polityk imperialnych, tym razem zgodnych z centrem angielskim nie taiły swojej radości.

Przyjrzyjmy się koalicji popierającej postać premiera rządu belgijskiego. Była to koalicja najdziwniejsza. Od komunistów począwszy, poprzez żywioły liberalno-masońskie aż do żywiołów katolickich, którym postać van Zeelanda wskazał w ostatniej chwili list pasterski Prymasa potępiający ruch „rexistów". List ów stanowił dla wielu niespodziankę zupełną, stawiając mnogie rzesze wobec głębokiego konfliktu wewnętrznego, czego wyrazem była duża abstynencja wyborcza. Front antyfaszystowski, tak — front antyfaszystowski odniósł tym razem zwycięstwo. Nie było to zwycięstwo, jak chcą niektórzy, romańskiego zamiłowania wolności i romańskiej ochrony indywidualności. Nie strach przed dyktaturą jako formą odegrał tu rolę decydującą, ale strach przed ciężarem gatunkowym tej dyktatury — bojowym nacjonalizmem i... katolicyzmem. Dziwna, doprawdy, sytuacja. Najdziwniejsza.

Prawie równocześnie z wiadomościami nadeszłemi z Brukseli, prasa podała, iż „Centralny organ komunistów holenderskich *„De Tribune"* zmienił tytuł na *„Velksdageblad"* i zaniechawszy ataków na religię, postawił sobie za cel główny utworzenie zarówno z socjalistami, jak i szerokimi masami chrześcijańskimi jednego wspólnego frontu przeciw „faszyzmowi" (Warsz. Dzien. Narod.).

Nie jest to rewelacja. Na łamach „Myśli" niejednokrotnie już wskazywaliśmy na nową, nadzwyczaj sprytną taktykę Kominternu, który odważył się tworzyć front już nie tylko liberalny, ale nawet wspólny z żywiołami reprezentującymi skrajnie antymarksistowski idealizm — katolikami. W świetle (czerwonym) tych poleceń „Front antyfaszystowski" staje się niczem innem, jak tylko awangardą „Frontu popularnego". Są więc próby, niestety, we fragmentach udane, tworzenia nowej linii podziału przeciwstawiającej się tej, którą my się staramy wytworzyć, a która pragnie postawić z jednej strony barykady żywioły opierające się na światopoglądzie idealistycznym: wierze w Boga i związaniu z Narodem, z drugiej zaś strony umieścić komunistów, masonerię, demoliberalizm, żydów, słowem tych wszystkich, którzy stoją na stanowisku poglądu materialistycznego. I mimo wszystko naszej linii podziału będziemy bronić zaciekle w pełni przekonania, iż my właśnie dobrze czynimy, dzień wyborów w Brukseli i wypadki go poprzedzają uważając za tragiczne nieporozumienie, które oby nie pociągnęło za sobą następstw tragicznych.

B.

NAUKA i LITERATURA

IRONIA I GROTESKA

Anny Świrszczyńskiej („Wiersze i proza" [1]) — tomik skromnie, ale ze smakiem graficznym wydany, wybija się i odcina od wszelkiego towarzystwa w plonie młodej polskiej poezji ostatnich lat, jak oset w zbożu. W tej przenośni chcę krótko a plastycznie uwydatnić pewne cechy tego osobliwego tworu literackiego: piękno karykaturalnych ostrych zarysów, gdzie wśród powabnych, niejako puszystych akcentów (por. A. Mickiewicza: „Kobieto puchu marny", tekst pierwotny: „boski diable") — sterczą kolce ironii, nie sięgającej, mimo tej pretensji, do „wnętrza trzew".

W całej literaturze polskiej, gdzie nawet satyra i pamflet przemawiają z wysoka, z wyżyny patosu, niema tego typu utworów. Coś podobnego możnaby chyba wyszukać jedynie w bajkach Ejsmonda, albo „Grabince" Godlewskiego, gdzie mamy tąż samą niby to poważną aż do najwyższego komizmu, wiarę w realne, ba! najnaturalniejsze w świecie istnienie fantastycznych baśniowych kreacji.

Irzykowski w „Walce o treść" chciał, aby poeta imitował przynajmniej natchnienie, jeśli go nie przeżywa w sensie świętego szału radosnej twórczości. Zapewne mu chodziło o tę specyficzną różnicę w tonacji poezji i prozy, o te przynajmniej pozory śpiewania, w odróżnieniu od mowy potocznej, o zbudowane harmonijne, symfoniczne, naświetlone widowisko sztuki. Tu autorka postawiła sobie wręcz przeciwne zadanie. Jakby mówiła: nie czuję „iskry", „ognia", ani transu, to trudno. Ale mając bystry wzrok i umysł, wyćwiczony w logice, nie będę udawać Pytji.

Jeszcze raz tutaj mamy sposobność stwierdzić, że ściśle filologiczna metoda badania tekstów nie wystarcza do uzasadnionego opisu całokształtu utworu literackiego. Czasami przedmiot wymaga mniej pewnych, z natury rzeczy, ale dalej idących rekonstrukcji procesu twórczego, aż do charakterystyki duszy autora, jego filozofii, jego życiowej postawy. W danym wypadku, jakkolwiek może dotychczas Anna Świrszczyńska mało dała nam materiału do odtworzenia zarysu jej świata, to jednak ten materiał jest tak charakterystyczny, stanowi zjawisko tak niepokojąco oryginalne, że trzeba się pokusić o głębsze jego motywy.

Jako się więc rzekło, w „Wierszach i prozie" widać postawę antipatetyczną, antiromantyczną, nawet antireligijną, nie bez cienia w tem wszystkiem, młodzieńczo - kobiecej przekory. Nie chciałbym urazić wierszopiski z „Płomyka", znającej zapewne z pedagogiki rozwój duszy dziecka, ale myślę, że tę jej postawę możnaby nazwać niejako „trzecim okresem przekory" dorosłego człowieka, który ma jeszcze nie zużyte siły biologiczne, ale który przez swój przerafinowany krytycyzm we wszystkich rzeczach świętych zobaczył tylko rzeczy dziwne i śmieszne i czuje teraz pustkę w duszy. Nie wiemy, czy autorka wykoncypowała sobie taki program i do niego się świadomie stosuje, czy też pisze tak poprostu, zajęta tylko szczerą sztuką. Wreszcie mało nas ta drugorzędna kwestia

[1]) Warszawa, 1936, nakładem autora, skład główny: „Biblioteka Polska", str. 72.

obchodzi. Zwłaszcza, że w ten czy inny sposób — w utworach tych panuje jednolity styl; ich kunszt i ich myśli są zapewne zgodne z zamierzeniami, a te — z naturą poetki.

Rozczarowanie do wszelkich świętości, nieufność do spraw wielkich — już w mężczyźnie łączy się z osłabieniem jego akcji społecznej w sensie jakiejkolwiek pracy wśród i dla żywych ludzi. Kobieta nie religijna jest tembardziej z reguły aspołeczna. Nada to odpowiednie piętno jej twórczości literackiej. Los ją wplecie i będzie toczył w dekadencję myśli kulturalnej, w znaczeniu, jakie temu procesowi nadał St. Brzozowski w „Legendzie Młodej Polski". On to rozumiał, jako życie li indywidualne aż do solipsyzmu, jako rezygnację z świadomego udziału w bycie pokoleń, a tylko przyjemną konsumcję gotowego dorobku przeszłości, jako wreszcie odcięcie się światem baśni i fikcji od gospodarczej walki społeczeństwa o byt biologiczny i dążeń do niepodległości narodu.

Pewne cechy tej „świadomości kulturalnej" można wykryć w postawie Anny Świrszczyńskiej. Jej surowa ironia, rzadko kiedy ugięta w sympatyczniejszym uśmiechu, czepia się najchętniej rzeczy wielkich i patetycznych. Jakby to wyglądało, gdyby Pismo św. Starego i Nowego Testamentu, dzieła malarstwa religijnego, pewne epopeje np. „Iliadę" lub „Don Kichota" — opowiedzieć bez żadnego podniosłego napięcia, ale w tonie lekkim, frywolnym, z niezmiernie komiczną powagą i przedmiotowością? I oto mamy utwory: „Dzień stworzenia", „Apokalipsę", „Południe", „Groteskę", „Piękną Helenę", „O świcie", „W wieczór Bożego Ciała". Znikł patos, rozwiała się aura symbolizmu, opadł, rozpłynął się potężny, pulsujący miąższ sensów, które narosły wiekami około postaci Chrystusa, Don Kichota, Dulcynei, Parysa. Ale też znikły dusze tych postaci, wraz z ich wielkością uciekło z nich — życie. I dziwimy się, że tym kukiełkom niby to o normalnej psychologii zwykłych ludzi, nadała autorka tak wielkie nazwiska.

Lubujący się w analizie trudnych tekstów polonista może się zastanowić: czy autorka drwi, czy o drogę pyta? Otóż drwi i to jest właśnie jej „poetycka droga". Z pewną znajomością Pisma św. i odpowiednich dzieł literackich, przy mozolnem zestawianiu wyrażeń i odgadywaniu, co autorka chciała przez to lub owo powiedzieć, — udaje się czasem wykryć ideę głębszą, świadczącą, jak oryginalne koncepcje „wykryła" poetka, szperając, jak to się mówi — „scholastycznie" w dokumentach myśli Boskiej i ludzkiej, szukając po swojemu ich istoty. Ale idei tych ani nie widać na pierwszy rzut oka, ani nie czuć w nastroju utworów. Jakiekolwiek tu miały być zamiary literackie, jest to wada formy. Gdzie forma staje się kabalistyczną i sens, jak trucizne w tkance, trzeba wyszukiwać subtelną analizą, tam jest schyłek sztuki poetyckiej, bo sam materiał tej sztuki, język, zatraca swą najistotniejszą funkcję.

Poważny swój talent, śmiałą i świeżą wyobraźnię, bujne, może czasem przesadne poczucie ruchu, stawania się, rozwoju, przemian, styl lekki, zwłaszcza piękny w dialogach — A. Świrszczyńska poświęca subtelnostkom, dziwacznym odczuciom, osobliwościom wysoce skomplikowanych, wyrafinowanych doznań. Jeżeli zrozumie wielkość, nie tylko poprzez jej możliwe, śmieszne pozory, ale na sposób bardziej religijny, jeżeli przejmie się istotą najważniejszych ludzkich spraw, będzie prawdopodobnie mogła dać dzieło większe z żywą duszą.

TADEUSZ DWORAK

RUCH WYDAWNICZY

Mowa nasza zdobywa sobie coraz szersze uznanie i zastosowanie na terenie międzynarodowym. Stwierdzeniem tego są coraz to częstsze zjazdy naukowe, w których polszczyzna bywa uznawana za jeden z języków dopuszczonych do prelekcyj i obrad. Zaciekawienie literaturą polską wzrasta za granicą—co prawda nie dzięki dziełom Kadena i kompanii, tłumaczonych *ex officio* za rządowe pieniądze na języki obce, tylko dzięki tym twórcom, po których dzieła zgłasza się sama zagranica...

Dzieła Sienkiewicza, Prusa, Reymonta, Żeromskiego utrwalają nadal sławę literatury polskiej w szerszym świecie. A są i tacy, którzy te dzieła radziby czytać w oryginale. Więc rośnie i zainteresowanie językiem, potrzeba jego poznawania, a stąd i podręczników.

Jeden z takich podręczników dał niedawno Józef Andrzej Teslar, znany niegdyś poeta II Brygady Legionów, następnie profesor języka polskiego w paryskiej Wyższej Szkole Wojskowej, zasłużony b. dobrym przekładem francuskim „Krzyżaków" Sienkiewicza. Jego „*Méthode pratique de polonais pour les Français*" ma wielkie zalety dydaktyczne. Utrzymana na poziomie naukowym, nie jest jednak obarczona uczonością, nadmiarem reguł gramatycznych i materiałem porównawczym.

W przeciwieństwie do książki wydanej niedawno przez świetnych lingwistów Meilleta i Wilman-Grabowską, jest to nie dzieło naukowe, lecz przystępne wprowadzenie w istotę języka. Może trochę za mało (na początek) jest rozmów oraz urywków literatury — ale w II części będzie ich pewno więcej. Pisownia jest jeszcze z przed czerwca 1936 r. (J. B-r)

TEATR

NAGRODA LITERACKA

Wystawiona w teatrze Nowym czteroaktowa komedia p. Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej „Nagroda literacka" robi wrażenie koncertu utalentowanego amatora gry na fortepianie, grającego jednak „ze słuchu", bez znajomości nut i bez żadnej szkoły. Właściwy smak tej sztuki dałby się poczuć w całej pełni, gdyby ją odegrali prowincjonalni amatorzy sztuki aktorskiej. Tow. Krzewienia Kultury Teatralnej postanowiło widocznie wystawiać utwory tej autorki dopóty, dopóki wreszcie nie nabędzie szkoły, ale nie widać żadnych szans po temu.

Powodzenie teatralne w Warszawie dobrą szkołą nie jest, publiczności bowiem wystarcza dobra gra aktorów i koncepty; byłoby krzewieniem kultury teatralnej, gdyby ktoś postawił autorce wymagania co do kompozycji. Ta ostatnia jej komedia, mająca być satyrą na złą literaturę, jest manifestacją pogardy dla tego wszystkiego, co może być wartością tworu dramatycznego, każdego zresztą dzieła sztuki. To, czego najskromniej wymagać musimy od dzieła sformułować można w żądaniu, aby wytłumaczyło autora z jego zamiarów i środków. Pani Pawlikowskiej ani na celu ani na środkach nie zależy.

Dosyć powiedzieć, że dla uproszczenia sobie pomysłu tej zabawy towarzyskiej bohaterem komedii zrobiła jakiegoś atletę (ideał niewieści 150-procentowego mężczyzny), który jednocześnie jest genialnym powieściopisarzem, ale o tem nikt nie wie, ponieważ ten nie chce nikomu dzieł swoich pokazywać. Opowiada cudowne bajki, ale nie zniósłby, gdyby je kto słyszał. Zapewne tenże dziwny człowiek oddaje się sportom tylko w zamkniętym pokoju, bo przecież mógłby go kto zobaczyć.

Dajmy na to: autor ukryty, ale na cóżby się dzieła tworzyło? Autor tedy zawiera spółkę z jakimś spryciarzem, który publikuje utwory pod swojem nazwiskiem, świetnie

na tem zarabiając (50 proc. dochodu) i staje się sławny. Mogłaby z tego być komedia, ale autorce było tego zamało. Ow spólnik zaczyna sam (przy pomocy ludzi wynajętych) fabrykować powieści i za tego rodzaju powieść otrzymuje wielką nagrodę. Mamy więc nowe założenie—satyrę na ciała literackie, rozdające nagrody. I tę satyrę pisze literatka, należąca do sfery, ciągle za coś nagradzanej.

Akademia Literatury, jako przysłowiowa dzisiaj instytucja wszelakich wawrzynów, powinna się za to obrazić. Ale ona właśnie — w osobie generalnego sekretarza swego, p. Kadena, dyrektora teatrów, tę sztukę kwalifikowała.

Gdybyż autorka miała na myśli sytuację społeczną literatury, opłakaną z powodu panowania złego smaku, wskutek nieszanowania się talentów! Ale nie, bo przecież opinia literacka publiczności wyrobiła sławę owej firmie (nagrodzonej bez czytania) i to na podstawie właśnie poprzednich dzieł jego. Poznano się więc na genialności. Sam ów firmowy autor trzyma się aż do przesady dostojnie. Satyra więc nie ma tego znaczenia, które mogłaby mieć, gdyby nie brak logiki w samym pomyśle. Skoro bowiem są w takiej cenie prawdziwe talenty, to wprost nielogiczna jest teza satyry, że rodzą się spekulanci, którzy przy pomocy stenotypistek i fryzjerów fabrykują powieści.

Jest trzeci motyw komediowy—satyra na snobizm kobiet z towarzystwa. Komedia pomyłek co do autorstwa znakomitych powieści sprawia, że panienka, „lecąca” na sławnych ludzi, przechodzi z rąk do rąk pisarzy. Nie uprzedził jej o mistyfikacji kochający ją geniusz, a sprawa jest poważna, idiotka ta bowiem angażuje się jako kochanka, a z łotrzykiem nawet ślub bierze. Jeżeli kto, to ona powinna paść ofiarą ośmieszenia, ale nieprawda — geniusz przyjmuje ją z powrotem bez żadnego odszkodowania moralnego.

Oto szereg nonsensów, świadczących o tem, że autorka nie umie ogarnąć myślą kompozycji. I tak było we wszystkich jej utworach dramatycznych, jakby pisane były przy pomocy manikiurzystek. A przyczyna leży w zapamiętaniu się kabaretowem. Z całego wzięcia się autorki widać że nie ceni swoich związków ze społeczeństwem, pokpiwa ze wszystkiego, co jest tradycjonalizmem, obyczajem, wiarą. Z jakiejże to wyżyny chce nam imponować swojem stanowiskiem? To, że ktoś patrzeć lubi na świat przez pryzmat kabaretu, świadczy jedynie o niedojrzałości duchowej, więc nie imponuje.

W.

MUZYKA

FILHARMONIA. — Tak niedawno jeszcze Mierzejewskiego zaliczaliśmy do liczby zapowiadających się dobrze kapelmistrzów i niedawno jeszcze Beveridge Webster debiutował w Warszawie z jaknajlepszym dla siebie rezultatem. Dzisiaj, nie można ich już inaczej traktować, jak w pełni dojrzałych artystów, biorących całkowitą odpowiedzialność za swoją sztukę.

Mierzejewski prowadził ostatnio IV-ą symfonię Brahmsa, „Uwerturę” Szałowskiego „*Tilla Eulenspiegla*“ Straussa, oraz akompaniował Websterowi przy wykonywaniu koncertu *d-moll* Brahmsa. Wszędzie był inny, aniżeli wówczas, gdy prowadził Szymanowskiego „*Stabat Mater*“ podczas nabożeństwa żałobnego w kościele Świętego Krzyża w Warszawie. Stąd pierwszy wniosek: Mierzejewskiemu na estradzie brak tego skupienia, jakie mu narzuciło wnętrze kościoła i powaga śmierci. Brak owego skupienia przejawia się w nieopanowaniu dużego temperamentu, szukaniu efektu niemal wyłączne w *forte* i *vivace*, wskutek czego Brahms (z wyjątkiem może koncertu, gdy obecność pianisty obowiązywała) wychodził zbyt ostro, nawet krzykliwie. Krzyczała i „Uwertura” Szałowskiego dobrze zrobiona, zinstrumentowana z pełną znajomością materiału a więc z całem ukazaniem barwy orkiestry, których ton ogólny Mierzejewski nieco przejaskrawił.

Podobnie było oczywiście i ze Straussem, wykonanym za prędko, bez wyzyskania pauz, kontrastów, wskutek czego „*Till*“ stracił charakter groteskowy, jaki się musiał wiązać z jego postacią i jaki niewątpliwie chciał Strauss wydobyć. Młody dyrygent zdaje się obecnie niedoceniać jeszcze cieniowania bardziej, wierząc w brawurę i wyzyskanie tempa, co znowu doskonale mu się udało przy Szałowskim. Być może, że Mierzejewskiemu brak owego sprawdzianu, którymby mierzył natężenie głosu orkiestry — nic w tem dziwnego, jest jeszcze bardzo młody. Mimo te zastrzeżenia, które z najserdeczniejszą życzliwością wymieniłem, stwierdzić należy, iż artysta znajduje się na jaknajlepszej drodze, rozwijającej widocznie jego niewątpliwy talent i pogłębia go. Nader sympatycznym przejawem jest jego silna ambicja, czego najlepszym dowodem dzieła, które pragnie interpretować, oraz np. prowadzenie takiego „*Tilla*“ na pamięć. „Pragnie interpretować...“—przyznaję, iż suma owych zastrzeżeń dała w rezultacie zupełnie swoistą interpretację, która, jeśli jest świadoma, zasługuje na poklask, nosi bowiem cechy, wszystko jedno, czy mielibyśmy jakie zastrzeżenia, czy nie, wybitnie indywidualne.

Straussa i Brahmsa podanego w ten sposób nie słyszeliśmy, a fakt ten notuję skrzętnie i z radością. W sumie przyznać trzeba, że nad postacią Mierzejewskiego niepodobna przejść, posługując się banalnym frazesem. Zmusza do myślenia, każe się nad sobą zastanawiać a stadium rozwojowe, w którem się obecnie znajduje szczerze zaciekawia. Dobrze się stało, iż ostatnio umożliwiono mu parokrotne zetknięcie z orkiestrą. Nikomu bowiem chyba nie jest tak potrzebne zżycie się całkowite z estradą jak temu, którego sztuka polega na całkowitem nad nią panowaniu.

Z racji konkursu chopinowskiego porównałem grę jednego z laureatów, Anglika Dossora (jak się potem okazało, nie tylko ja jeden) do gry Webstera. Dzisiaj po paru latach nie mógłbym już użyć tego porównania. Zmienił się Webster. Dojrzał nad podziw. Gra jego straciła swój ostry wyraz nie popadając jednocześnie w czułostkowego gatunku liryzm, którego brak tak kiedyś chwaliłem.

Omówienie uwertury Szałowskiego, młodego naszego kompozytora przebywającego w Paryżu, o którym jego kolega Maciejewski powiedział, iż „w pełni realizuje swój talent“, odkładam do czasu, gdy będę mógł głębiej zastanowic się nad rodzajem jego twórczości. Okazja zjawi się, sądzę, rychło—Szałowski należy bowiem do tych, którzy pracują. Odkładam również omówienie zjawiska renesansu twórczości Brahmsa, czego, przyznam się, trudno mi pojąć. Mimo moich wiem że czysto indywidualnych zastrzeżeń, wydaje mi się, że rozumiem, dlaczego Mierzejewski wybrał właśnie IV-tą symfonię.

W. NARUSZ

NOWE KSIĄŻKI

Helsztyński Stanisław. Proroctwo Amosa (poezje). Września 1937). Bibl. „Wici“.

Gluziński Tadeusz. Sprawa ukraińska. Warsz. 1937. Bibl. „Nowego Ładu“. Str. 128.

Noyszewski-Piołun Stan. Zarys myśli polityczno-społecznej Stefana Żeromskiego. Warsz. 1937. Inst. Wyd. „Biblioteka Polska“. S. 94.

Brzozowski Stan. Legenda Młodej Polski. Studia o strukturze duszy kulturalnej. (Dzieł wszystkich tom VIII). Warsz. 1937. Wyd. Instytutu Literackiego. Str. XI i 494.

Funck-Brentano F. Odrodzenie. Przeł. E. Boyé. Warsz. 1937. Wyd. „Płomień“. S. 346 (z ilustr.)

Lubelski Związek pracy kulturalnej. Sprawozdanie za r. 1936. Lublin 1937. S. 71 (z ilustr.)

Ruch Literacki — styczeń 1737.

Jankowski A. ks. dr. Jeszcze o tytule i nazwie „ksiądz“. Włocławek 1937. Str. 60.

Ignaszewski Janusz. Polski rynek żelaza w r. 1936. Katowice 1937. S. 34.

DYSKUSJE

SPRAWA NAUKI

Niedawno ogłoszono w prasie list otwarty znanego młodego prawnika Edwarda Muszalskiego, wystosowany do profesora U. J. P. a jednocześnie wice-marszałka Senatu Wacława Makowskiego. Prof. Makowski podczas debaty senackiej nad budżetem ministerstwa W. R. i O. P. dnia 11-go marca r. b. wygłosił przemówienie, w którem się skarżył, że młodzież nie garnie się wcale do pracy naukowej. „Od dwudziestu lat nie znalazłem takich, którzyby chcieli poświęcić się karierze profesorskiej" — przytacza Muszalski słowa przemowy za tekstem „Gazety Polskiej" i natychmiast odpowiada głosem prawdziwie zdziwionym:

„Przedewszystkiem służę konkretną wiadomością, naprędce, bez przemyślań i poszukiwań, o kandydatach, których bądź znam, bądź o których słyszałem, czy choćby zaczerpnąłem wiadomości z czasopisma młodzieży prawniczej „Prawo", którzy chcieliby pójść na drogę naukową, a są odpowiedni niekiedy nietylko do skierowania ich na tę drogę, ale nawet do powierzenia odrazu pewnych, nawet odpowiedzialnych stanowisk, jak np. dr. Stanisław Borowski, docent uniwersytetu, niewiadomo dlaczego dotychczas jeszcze nie zajmujący katedry historii prawodawstw słowiańskich w uniwersytecie, a mający na politechnice propedeutyczne wykłady obecie obowiązującego prawa cywilnego; dr. Witold Sawicki, który zdaje się złożył habilitację, a bodaj dwa lata czeka na możność wykładania prawa na zachodzie Europy, na nieobsadzonej katedrze stołecznego uniwersytetu..."

Poczem następują kolejno nazwiska młodych prawników, oddających się z zamiłowania pracy naukowej. Cytuję według przypadkowej zresztą kolejności listu: Gąsiorowski, Grzankowski, Marchwiński, Grabowski, Sochacki, Ruszkowski, Wąsowski, Bernadzikiewicz, Frycz i inni. Nie będę dzisiaj wyliczał wszystkich wymienionych. Zaznaczam tylko, że spis obejmował wyłącznie dziedzinę prawa i że należy go także uzupełnić nazwiskiem podpisującego list otwarty.

Cała sprawa wygląda na jedno wielkie nieporozumienie. A tymczasem tak nie jest. Zacznę swą próbę wytłumaczenia tego conajmniej dziwnego, na pierwszy rzut oka zjawiska, od anegdoty. Anegdoty, niestety, prawdziwej. Jeden z młodych naukowców, o którym była mowa powyżej, powiedział mi kiedyś z uśmiechem: „Ciekaw jestem co będzie z moją habilitacją. Wszystko w ręku... dozorcy. Od paru dni dokonują u niego wywiadu. Pytają o mnie. Staram się, jak mogę, żeby nie popaść w niełaskę. Codziennie przed jedenastą wracam do domu..." Sprawa w rezultacie wypadła źle. Czyżby istotnie dozorca? Swoją drogą należało wracać do domu właśnie po jedenastej. Co za karygodny brak zmysłu życiowego! A katedra jest w dalszym ciągu nieobsadzona...

Autor listu otwartego próbuje tłumaczyć brak, gdyby istotnie istniał, młodego narybku, ciężkimi warunkami finansowymi ludzi wchodzących w życie, a równocześnie ich przepracowaniem. „Czy np. może pracować naukowo bezpłatny czy płatny asesor sądowy sądzący 80 do 200 spraw tygodniowo, lub załatwiający dziesiątki interesantów, albo młody adwokat, oczekujący godzinami w kolejce na wywołanie drobnej sprawki o eksmisję, o odroczenie eksmisji w sądzie Grodzkim, lub zmuszony wynotowywać długie protokuły sądowe po kilka razy celem uzyskania tytułu wykonawczego, czy też praktykant administracji ogólnej lub skarbowej, zmuszony „odwalić" codziennie dziesiątki kawałków..." Ale to tylko jedna strona medalu. Drugą nie mniej ważną a może istotnie tłumaczącą, dlaczego prof. Makowski nie widzi kandydatów do kariery naukowej ujrzymy idąc po nitce do kłębka. Nitka zaczyna się niejednokrotnie w mieszkanku dozorcy. Tak jest — wywiad polityczny dyskwalifikuje.

Jeśli podobny stosunek do młodych sił naukowych będzie trwał nadal, stan katastrofalny niewątpliwie jeszcze przybierze na rozmiarach. Bo trzeba sobie z tego zdać sprawę, że podkład ideowy idących wciąż roczników uniwersyteckich pogłębia się tylko i wyłącznie w duchu narodowym. Między oficjalną nauką a nimi, więcej—między nimi a ludźmi na katedrach poczyna się tworzyć przepaść; dwa różne aspekty wykluczają koordynację.

Niedawno odbył się w Warszawie zjazd akademickich Kół Prawniczych. Zapadłe na nim uchwały wykazują nową drogę pracy naukowej. Przyznaję, uchwały te są mocno nieraz naiwne i prymitywne. Gdy pominiemy właśnie ową zrozumiałą naiwność i prymitywizm, spostrzeżemy jedno: duch ich jest z gruntu inny, aniżeli duch wykładanej dzisiaj oficjalnie na uniwersytetach nauki. Nie lekceważmy postawy ideowej, która w mniej lub więcej szczęśliwych sformułowaniach pragnie dać wyraz swemu poglądowi na świat, pragnie jego pogłębienia, wzbogacenia formy. Można się dzisiaj tak śmiać z uchwał zjazdu, jak się może śmiejemy z doświadczenia Galvaniego „wskrzeszającego" żabę. Stosunek owego doświadczenia do dzisiejszych zdobyczy z dziedziny elektryczności jest podobny stosunkowi dzisiejszych tematów dyskusyjnych naszej prawdziwej młodzieży nacjonalistycznej do przyszłych, późniejszych dojrzałych sformułowań narodowego prawa polskiego panującego już i komentowanego. Obecne koncepcje — prawda — proste, nieskomplikowane, ale są niekłamanym wyrazem istotnej potrzeby; mają przeto wszelkie warunki rozwoju i — rozwiną się.

W kołach intellektualnych młodego pokolenia wre, dosłownie, praca zapewne w wielu wypadkach, dyletancka, pozbawiona metody, nie mniej jednak twórcza, kierowana mózgami nieobciążonemi balastem wczorajszych, niewspółczesnych pojęć. Praca nie zmniejszająca dystansu między prowadzącymi ją a zespołem nauczającym, przeciwnie — z każdym dniem powiększająca ów dystans. Dochodzi nieraz do tego, iż można mówić jedynie o więzi formalnej, jeśli wogóle słowo „więź" ma tu jakikolwiek sens. Znam wypadki, gdy studenci są zmuszeni wbrew własnym najgłębszym przekonaniom i uczuciom odpowiadać zdaniami podanemi w podręczniku po to jedynie, by wypełnić podpisem miejsce w indeksie. Egzamin taki pozostawia nieraz wiele przykrego osadu na dnie duszy młodego człowieka. Jest dla niego nad wyraz bolesnem wspomnieniem.

Życie wykazało dobitnie, że zasada obiektywności nauki jest synonimem hipokryzji. Nie znaczy to, ażeby w pracy naukowej uciekano się do świadomego fałszu, nie — wierzymy i chcemy wierzyć w bezwzględną uczciwość poczynań, niemniej tak, jak trudno nam uznać zasadę „sztuki dla sztuki", trudno również uznać zasadę „nauki dla nauki". Nauka albo poprostu służy jakiejś idei, albo wyrasta podświadomie na jej podłożu. Jest wyrazem tendencji epoki oraz skolei formuje epokę. Nawet w takiej dziedzinie jak nauki ścisłe. Weźmy przemiany dokonane w latach ostatnich na polu fizyki.

Nie ma więc powodów do rozpaczy i nie należy uderzać na alarm, ale spojrzeć trzeźwo i zobaczyć, a zobaczywszy nie próbować nawet niszczyć, daremnym bowiem owe próby mogą stać się trudem — nawet największe autorytety nie zahamują biegu wypadków. To przecież, Panie Profesorze Makowski, tym razem cząstka Pańskiego światopoglądu—postęp. Tak jest, postęp.

JAN BAJKOWSKI

POKŁOSIE

NIEBEZPIECZNE ILUZJE

W jednym z poważnych dzienników stołecznych ukazała się przed dwoma tygodniami wiadomość w formie depeszy z Londynu, podanej przez PAT. tej treści, iż do Anglii przybył znaczny transport złota z Rosji sowieckiej i że wzamian za te 120, czy 130 skrzyń złota Sowiety mają otrzymać z Anglii 18 milionów ton obierzyn kartofli, które to obierzyny potrzebne im są do przeżywienia ludności do nowych zbiorów.

Wiadomość oczywiście zupełnie bezsensowna, ale sama możliwość jej wydrukowania nasuwa niejedną uwagę ogólniejszą. W prasie całego świata można z pewnością wyłowić codzień niejedną wiadomość bez sensu, ale będzie to zazwyczaj głupstwo, wynikające z ignorancji obcych stosunków, rzadko natomiast, o ile odrzuci się jawne pomyłki druku, będą to przekręcone, czy nie trzymające się kupy liczby. U nas zaś właśnie liczba jest rzeczą najsłabszą, nie zwraca się na nią uwagi, tak jak by to było jakieś *accesorium* podrzędne, bez istotnego znaczenia. Tak też jest i w wiadomości, o której mowa. Pomijamy to, że w okresie kiedy wciąż się mówi i pisze o wędrówkach złota, o tem, jak poszczególne państwa starają się prąd tego metalu do siebie skierować — redaktorowi wydało się możliwe i prawdopodobne, żeby Sowiety płaciły szczerem złotem za towar tak podrzędny, jak odpadek gospodarski w postaci obierzyn kartoflanych. Nie świadczy to dobrze o zmyśle gospodarczym. A cóż powiedzieć o ilości tych obierzyn, jaką Anglia miała sprzedać! Osiemnaście milionów ton obierzyn! Skądże ich tyle wziąć? Toż cała produkcja ziemniaków na kuli ziemskiej, jeżeli wyłączyć Rosję, wynosi około 150 milionów ton, a więc obierzyn na całym świecie nie może być więcej, niż dajmy na to 10%, czyli 15 milionów ton. Można nie mieć pod ręką tych cyfr, ale trzeba przecież wiedzieć, że np. w Polsce produkcja ziemniaków waha sie około 30 milionów ton rocznie, więc Anglia nie może mieć 18 milionów samych obierzyn! Ale ktoby się tam u nas nad liczbą zastanawiał!

Dotychczas ignorowaliśmy stosunki ilościowe całkowicie. Czy na przyszłość będzie lepiej? Niebardzo się chce w to wierzyć, gdy się dowiaduje, że obecnie w Polsce można otrzymać maturę, nie zdając z matematyki, gdyż można zamiast tego wybrać sobie fizykę. Fizyka jest oczywiście nauką opartą na matematyce, ale przecież w szkole średniej traktuje się ją raczej doświadczalnie, nie zaś teoretycznie. Można sobie wyobrazić, jaką pociechę będą mieli profesorowie w wyższym zakładzie z tych maturzystów bez matematyki!

Ale jest jeszcze inna strona kwestii. Kto i w jakim celu komponuje podobne „bujdy", jak z owemi obierzynami? Chyba komuniści w celu zdyskredytowania propagandy antybolszewickiej, bo przecież nic tak jej nie może skompromitować, jak jawne w tej propagandzie nonsensy. System bolszewicki ma dość słabych i dla nas wstrętnych cech, żeby trzeba się uciekać, aż do idiotycznych bajd o kupowaniu obierzyn za złoto, które każdy człowiek z jakim takim sensem w głowie uzna natychmiast za bzdurę. I efekt będzie oczywiście tylko ten, że widocznie w walce z komunizmem niema innych argumentów, jak tylko kłamliwe bajdy.

Coś podobnego dzieje się z wiadomościami z Niemiec. Co jakiś czas rozbrzmiewa zgodny chór o bankructwie jakiegoś poczynania hitlerowskich rządów. Według tego rządy te powinny już dawno zniknąć z powierzchni, zmiecione samemi niepowodzeniami. Ostatnio mnożą się wieści o bankructwie polityki samostarczalności podjętej niedawno z większą niż dotychczas energią. Niemcy przeliczyli się rzekomo z siłami, dopiero teraz przekonali się, jak trudne zadanie sobie postawili itd. itd. Nikt naturalnie nie zaprzecza, że położenie Niemiec jest trudne, ale trzeba być naiwnym, żeby myśleć, że oni nie zdawali sobie sprawy z trudności, zanim tę drogę obrali. Najlepszy zresztą mamy dowód w tem, iż do przeprowadzenia tego zadania odkomenderowali najtęższego i najbezwzględniejszego ze swoich ludzi. Być może, że nie osiągną celu, ale nie dajmy się o tem przekonywać argumentami, nie wytrzymującemi krytyki. Wiele się np. pisało, teraz nieco mniej, o pewnym załamaniu się z powodu braku tłuszczów, zwłaszcza masła. Otóż dobrze jest pamiętać o tym, że normalnie w Niemczech spożywa się przeszło dwa razy więcej masła (nie licząc margaryny) nagłowę ludności. niż w Polsce. w Polsce 1,8 kilo, a w Niemczech 4,2 kilo na głowę rocznie. Więc gdyby ograniczenia wyniosły nawet więcej, niż połowę normalnej konsumcji, to Niemiec zjadałby jednak jeszcze tyle co żyjący we wszelkiej rzekomo obfitości Polak. Do załamania jest chyba daleko, skoro my jakoś to przez cały czas wytrzymujemy!

Trzeba nam trzeźwiejszej rzeczywistości, jeżeli chcemy uniknąć niebezpiecznych iluzji i niespodzianek.

ARGUS

NA MARGINESIE

Wywiad.

— No i co dalej, panie rektorze?

— Jakoś to będzie. Jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było.

*

Pięć mamy odmian szkodników politycznych: 1) żydzi 2) marksiści (ci są negacją polskiej racji stanu), 3) mechanicy, 4) ludzie wschodniej cywilizacji turańsko-bizantyńskiej (ci nie wiedzą co z Polską zrobić), 5) rabusie. Najgorsza jednak jest kombinacja wszystkich tych gatunków, sporządzana przez żydowską masonerię — synteza.



TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.** Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.60 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.